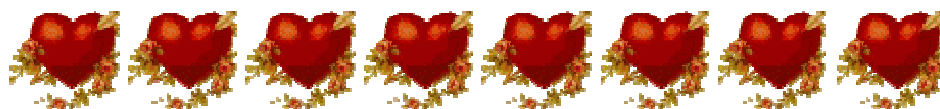




JANET DAILEY



Noc na pustyni

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Złotawe tchnienie owionęło pustynię, zwiastując rychły zachód słońca. Czubate kępy traw poruszone wieczornym wiatrem pochyliły się pokornie ku ziemi z sennym szelestem.

Jakiś jeździec na siwym arabie pędził po pustyni; kopyta końskie odrywały się z chrzęstem od zwirowo-piaszczystego podłoża. W pewnej chwili jeździec skręcił gwałtownie i skrył się w cieniu kolczastej akacji.

Lekkie szarpnięcie wodzami i koń skierował się w prawo ku skalistej przestrzeni, gdzie nawet skąpa pustynna roślinność nie miała dostępu.

Metalowe podkowy zadźwięczały teraz na nagich skałach. Tu właśnie Brandy Ames zatrzymała wierzchowca i popatrzyła na bezkresny pejzaż. Siwe ucho zastrzygło w jej stronę; koń wyciągnął szyję i potrząsnął łbem, protestując przeciw mocno ściągniętym cugłom.

Kremowa żółć pojawiła się na nieboskłonie. Po zachodniej stronie horyzontu widoczne były pomarańczowe promienie. Słońce rzucało na ziemię długie cienie, a w jego świetle wszystko zmieniało swój kolor; nawet złociste loki Brandy przybrały miedziany odcień.

- Żałuję, że nie potrafię malować - szepnęła Brandy do swego rumaka. - To byłby wspaniały obraz... Wszystko zmienia się jak w bajce. Jakby... pęk w zwolnionym tempie otwierał się we wspaniały

kwiat, prawda? - Poklepała konia po lśniącej szyi, ten zaś parsknął zadowolony.

- Czyżbym była zbyt poetycka, Rashad? - roześmiała się cicho. - Gdy już mnie lepiej poznasz, zorientujesz się, że mam bzika na punkcie zachodów słońca w Arizonie.

Owinąwszy wodze na przednim łuku siodła, Brandy zeskoczyła lekko z konia, postąpiła kilka kroków do przodu, po czym przystanąła zamyślona; z uwagą wypatrywała pierwszych purpurowo-różowych przebłysków, które pojawiały się na delikatnych, pierzastych chmurach rozsianych tu i ówdzie na niebie.

Delikatna twarz Brandy lśniła w promieniach zachodzącego słońca złotą opalenizną. Okrągłe, błyszczące, niebieskozielone oczy podkreślał zadarty nieco czubek nosa i doskonale wyrzeźbiony, subtelny rysunek ust. Wiotka, delikatnie zbudowana, sprawiała wrażenie postaci eterycznej, mimo dość wysokiego wzrostu. A jednak emanowała z niej jakaś wewnętrzna energia o magnetycznej sile przyciągania, a zarazem pełen skupienia spokój, który narzucał dystans.

Jeśli ktoś przypisałby Brandy nieśmiałość, skwitowałaby to szczerym śmiechem, ale trudno było nie spostrzec, że zachowywała się z rezerwą, którą tylko niewielu ludziom udawało się przełamać. Gdy jednak była sama, tak jak teraz, zachowywała się swobodnie, bez właściwej sobie powściągliwości.

Koń trącił ją w ramię, przypominając o swej obecności. W odpowiedzi pogładziła go po łbie, nie odrywając wzroku od zachodzącego słońca.

- Wiesz, Rashad - zwróciła się do konia - że dziś w sklepie, Karen wychwalała pod niebiosa Rocky Mountains? Och, może sobie mówić, co chce, o ich skalistej wielkości i potędze, a ja i tak pozostanę wierna Sonorze o zachodzie słońca! - dodała z emfazą.

Podnóże gór rozświetlał purpurowo pomarańczowy ogień zaprószony przez złocistą kulę, która zapadała się w ziemi. Niebo na wschodzie przybrało teraz barwę intensywnego szkarłatu, zachodni zaś horyzont stał się jaskrawopomarańczowy. Na widok tej feerii barw Brandy niemal straciła oddech; automatycznie przesuwiała dłonią po łbie Rashada, potem bezwiednie po jego aksamitnych chrapach, wreszcie po szyi.

Koń znów trącił ją w ramię, niecierpliwie prychnając i niespokojnie przebierając kopytami po wysmaganym wiatrem i wyślizganym skalnym podłożu.

- Przestań wreszcie myśleć o własnym żołądku, Rashad. - Brandy zręcznie przytrzymała konia za chrapy, ponieważ miał wyraźną ochotę chwycić zębami rękaw jej białej bluzki. - Zastaniesz pełny żłób, gdy wrócimy. Nikt ci tego nie zje... Och, popatrz teraz na zachód słońca! - Przesunęła ręką po horyzoncie. - Będziesz musiał polubić Sonorę i tak jak kiedyś Gwiazda dotrzymywać mi towarzystwa podczas kolacji, którą od czasu do czasu lubię zjeść na pustyni w zapadającym mroku...

Wspomnienie o łaciatej klaczy wprowadziło ją w nastrój pełen zadumy. Odkąd sięgała pamięcią, marzyła o posiadaniu konia, ale dopiero gdy skończyła dziesięć lat, rodzice podarowali jej ośmioletnią łaciatą klacz. Od tamtej pory stanowiły z Gwiazdą nierozłączną parę. Ostatniego lata, tydzień po dwudziestych urodzinach Brandy, Gwiazda rozstała się z tym światem.

Rashad, arabskiej rasy pełen werwy wałach, którego teraz dosiadała, został kupiony zeszłej zimy. Brandy nieustannie porównywała oba konie o tak bardzo odmiennych osobowościach. Gwiazda była częścią jej dzieciństwa, przyjaciółką, towarzyszką zabaw i powiernicą sekretów. Brandy miała oczywiście szkolne przyjaciółki, ale życie na wsi, na zachód od Tucson, z dala od ludzkich siedzib sprawiało, że często skazana była jedynie na towarzystwo własnego konia.

Gdy dorastała, często przebywała sama, nigdy jednak nie uważała się za osobę samotną. Rodzice darzyli ją nieustanną miłością i czułością, chociaż czasami zastanawiali się, jak to się działo, że ich jedynaczka ma odmienne od nich zainteresowania. Lenora i Stewart Amesowie zrobili doktoraty w swoich dziedzinach wiedzy i wykładali na uniwersytecie w Tucson. Byli więc ogromnie zaskoczeni brakiem ambicji naukowych u swego jedyne dziecko. Nigdy jednak nie usiłowali zmusić Brandy do wyboru drogi życiowej. Jeśli wolała krzątać się po domu i pracować fizycznie, byli szczęśliwi, ponieważ

ona była zadowolona. Jeżeli nawet czasami czuli się trochę rozczarowani, nigdy tego nie okazywali.

Brandy nigdy nie miała wobec rodziców kompleksu niższości, chociaż zdobyła za ledwie posadę ekspedientki w sklepie z pamiątkami i zajmowała się domem. Co więcej, w wieku dwudziestu jeden lat wcale nie czuła potrzeby wyfrunięcia z rodzinnego gniazdka.

Karen, najbliższa przyjaciółka, z którą pracowała w sklepie, namawiała ją wiele razy, aby przeprowadziła się do Tucson i zamieszkała razem z nią. Brandy zawsze odmawiała. Nie chciała porzucić Rashada, wyrzec się radości, jaką dostarczały jej wędrówki po pustyni... Kochała tę budzącą grozę, pustą, piaszczystą przestrzeń, której jedyną ozdobę stanowiła rosnąca tu i ówdzie sucha, poszarzała roślinność.

I kochała zachody słońca... Westchnęła na myśl, jak bardzo by jej tego brakowało, gdyby zamieszkała w mieście. Czasami obserwowała zachód z patio na tyłach swego ranczerskiego domu. Kiedy indziej zaś - tak jak dziś - czuła wewnętrzny przymus wyruszenia na pustynię, aby być niemym świadkiem tego zachwycającego widowiska.

Podeszła do krawędzi skalnej, jakby chcąc przybliżyć się do czerwonej łuny ogarniającej niebo, i głęboko odetchnęła. Powietrze było chłodne i bezwietrzne. Niebawem będzie musiała włożyć dżinsową kurtkę przytroczoną z tyłu siodła, teraz jednak rześki chłód dawał wytchnienie po całodziennym upale.

- To istny cud natury - wyszeptała sama do siebie. - Każdy zachód słońca różni się od poprzedniego... Niebo zmienia się jak w magicznym kalejdoskopie.

Usłyszała za sobą nieprzyjemny, metaliczny dźwięk; to Rashad niecierpliwie uderzał kopytem o skałę.

- Widzisz, gdyby był z nami tata, udzieliliby ci szczegółowych wyjaśnień, dlaczego na ziemi można obserwować tak fantastyczne zachody słońca. - Uśmiechnęła się do konia. - Wszystko zależy od atmosfery ziemskiej i sposobu, w jaki filtruje światło słoneczne. W południe słońce jest najjaśniejsze, ponieważ o tej porze znajduje się prosto nad nami i jego promienie przechodzą najkrótszą drogę przez atmosferę. Natomiast podczas wschodu i zachodu światło słoneczne musi przeniknąć grubszą warstwę atmosfery... Fiolet, błękit i zieleń zostają zatrzymane, czerwień zaś, pomarańcz i żółć przenikają ją. A zachody słońca są bardziej malownicze od wschodów, ponieważ w ciągu dnia do atmosfery przenika dużo cząsteczek pyłu.

Niebo na zachodzie przybrało już odcień ciemnego fioleto. Brandy wsunęła ręce do kieszeni spodni i głęboko wciągnęła powietrze.

- Gdy zaczyna się opisywać zachody słońca w taki naukowy sposób, wówczas tracą one swą magiczną moc, nie uważasz, Rashad?

- W zamyśleniu przechyliła głowę na bok, a złociste włosy opadły jej na twarz. - Wolę, gdy cuda natury zachowują swoje tajemnice.

Ciszę, która nastąpiła po tych pełnych zadumy słowach, przerwał nagły wystrzał z rewolweru. Jakiś ranczer strzelał do kojota, pomyślała Brandy, wsłuchując się w echo, jakie rozniosło się po pustyni.

Ale kapryśny i płochliwy arab na huk wystrzału zareagował zgoła inaczej. Nim Brandy zdążyła się odwrócić, już go nie było. Ujrzała tylko w oddali znikający koński zad. Włożyła dwa palce do ust i zagwizdała przeciągle. Gwiazda natychmiast by się zatrzymała, ale arab nie pojmował jeszcze sygnałów swej pani.

- Rashad! - Brandy rzuciła się do przodu, ale nierówne podłoże uniemożliwiało bieg. - Rashad, wracaj!

Nie miała żadnej szansy złapać konia. Z dużej odległości widziała tylko jego wyciągniętą szyję i skulone uszy. Kierował się w stronę domu, w stronę stajni i pełnego żłobu. Nie miała wątpliwości, że całą drogę przebiegnie wyciągniętym galopem.

- Ty głupcze! - mruknęła pod nosem, ale rozumiała, że nie powinna obwiniać konia. Sama popełniła błąd, nie uwiązując go do drzewa. Za tę bezmyślność zasłużyła sobie na długi marsz po pustyni. Powinna wiedzieć, że na Rashadzie nie mogła polegać tak jak na poczciwej, starej Gwieździe,

Pocieszała się w myślach, że rodzice spędzali dziś wieczór poza domem, nie zdążą się więc wystraszyć widokiem samego Rashada. Robiło się jednak coraz ciemniej i chłodniej, a czekał ją męczący kilkukilometrowy marsz. W dodatku zaczynała odczuwać głód, i z żalem myślała teraz o smakowitych kanapkach, które odjechały z Rashadem.

Odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na pogłębiającą się purpurę nieba. Błyszcząca słoneczna kula schowała się już za horyzontem, a na fioletowym niebie pojawiła się pierwsza, słabo jeszcze widoczna gwiazda. Ciemność zapadnie lada chwila... Brandy ogarnął ponury nastrój, gdy pomyślała o długiej, samotnej drodze do domu w zapadających ciemnościach.

Wyprostowała ramiona i ruszyła w kierunku domu. To dziwne, ale z końskiego grzbietu okolica wyglądała zupełnie inaczej. Kępy dzikich akacji i wysokich traw wydawały się teraz gęściejsze, a zbocza wzgórz o wiele bardziej strome. Niepokój zakiełkował w jej sercu, gdy wyobraziła sobie jak dziko i obco może wyglądać znajoma droga w kompletnej ciemności.

Przyspieszyła kroku. Świadomość, że po dwóch, najwyżej trzech kilometrach ujrzy światełko na dachu stajni dodawała jej otuchy.

Szła rażno, aż nastąpiła kompletna ciemność; księżyc miał kształt malutkiego rogalika, a gwiazdy przypominały migotliwy pył, który niczego nie oświetlał. Jedynym dźwiękiem, który docierał do jej uszu, był chrzęst żwiru i piasku pod stopami oraz szelest traw, o które ocierały się jej dzinsy. Z trudnością omijała kępy wielkich, kłujących, kaktusów i często wchodziła wprost na nie, zbyt późno odkrywając, że ciemne kopce nie były kępami miękkiej trawy. Z konieczności musiała odrywać raz po raz wzrok od dalekich punktów odniesienia i skupiać się na tym, co znajdowało się naprzeciw niej. Za każdym razem, gdy zatrzymywała się, by złapać oddech, wypatrywała w dalekiej przestrzeni znajomych, jak się zdawało, zarysów.

Zrobiło się zbyt ciemno, by dojrzeć wskazówki zegarka, Brandy jednak była pewna, że na wierzchołku trzeciego z kolei wzgórza zobaczy światła na dachu stajni. Przyglądała się więc w niejakim spokoju pięknemu, nocnemu niebu i roziskrzonym gwiazdom.

Czyż to możliwe, żeby zrobiło się jeszcze ciemniej? Ponury grymas wykrzywił jej usta. Szkoda, że nie słuchała uważniej ojca, gdy usiłował jej wyjaśnić położenie konstelacji gwiazdnych. Ta wiedza przydałaby się teraz...

- Czy to możliwe, by ta wysoka kępa traw zasłaniała światło? - wymamrotała w głos i przyspieszyła kroku.

Szła już bardzo długo i całkiem straciła rachubę czasu. Zdawało jej się, że przeszła wiele kilometrów. Zaczynała się trząść z zimna. Temperatura spadła chyba o kilkanaście stopni... W głowie czuła tępy, narastający ból, w żołądku zaś głodowe skurcze. Gdy tylko znajdzie się w domu, spałaszuje całą miskę gulaszu, czekającego na nią w lodówce! Ta przyjemna, zwodnicza wizja nie zmniejszyła jednak doskwierającego głodu.

Po przebyciu następnego kilometra, Brandy przestała oszukiwać samą siebie. Okolica wcale nie wyglądała znajomo. Zabłądziła i teraz nieporadnie kręciła się w kółko! Wyczerpana i osłabiona z głodu opadła na kolana, nie zważając na ostre kamyki, które wbijały jej się w ciało.

Jak daleko zboczyła z właściwej drogi? Czy powinna podążać nadal przed siebie, w nadziei, że wkrótce dojrzy jakiś znajomy znak?

Nie po raz pierwszy zgubiła się na pustyni, przedtem jednak polegała na Gwieździe, która nieomylnie znajdowała drogę do domu.

Energicznie potarła rękami pokryte gęsią skórką nagie ramiona. Nie mogła zejść zbyt daleko z właściwego szlaku, pocieszała się niepewnie. Po krótkiej chwili wahania postanowiła kontynuować marsz przed siebie. Lepiej było się ruszać, niż tkwić w miejscu i zamarznąć na śmierć; w tym ostatnim stwierdzeniu kryła się lekka przesada, temperatura bowiem nie spadła aż tak bardzo.

Uszła zaledwie parę kroków, gdy nieoczekiwanie poczuła silny ból pod łopatką. Zatrzymała się, dotykając ręką bolącego miejsca i rozejrzała wokół. Z lewej strony, wydało jej się, że widzi błysk światła... Stała nieruchomo, przyglądając się okolicy i zmuszając oczy do przeniknięcia ciemności. Po chwili znów zobaczyła światło - migocące i znikające - prawdziwe światło!

Pełna otuchy ruszyła pędem w jego kierunku, nie zważając na kaktusy i trawy ocierające się o jej spodnie i grube, skórzane buty. Szczerze wątpiła, by były to światła jej domu - ale światło na pustyni zawsze oznaczało obecność człowieka. Po pewnym czasie jasność przybrała określony kształt - było to ognisko ukryte na przełęczy i prawdopodobnie widoczne jedynie z kierunku, z którego szczęśliwie nadchodziła. Brandy chciała roześmiać się głośno przepelniona szczęściem, ale była tak wyczerpana, że jedynie blady uśmiech zagościł na jej ustach.

- Cześć! - wykrzyknęła z wyraźną ulgą, podbiegając w stronę ognia.

Jakaś ciemna postać poruszyła się z wolna, pozostając nadal poza kręgiem światła.

- Jakże się cieszę, że cię widzę! - dodała ze śmiechem Brandy. - Zgubiłam drogę do domu i już zaczynałam myśleć, że przyjdzie mi nocować na pustyni...

- Naprawdę? - Głos mężczyzny był niski, zduszony i dźwięczała w nim nuta tłumionego gniewu.

Brandy lekko zmarszczyła brwi. Nie oczekiwała przyjęcia z otwartymi ramionami, spodziewała się jednak przynajmniej odrobiny zainteresowania.

- Pojechałam na przejażdżkę... - usiłowała wyjaśnić sytuację. - Mój koń spłoszył się i uciekł... Wracałam więc pieszo do domu, aż zrobiło się bardzo ciemno. Musiałam obrać zły kierunek.

Nastała chwila pełnej napięcia ciszy, nim siedzący w półmroku mężczyzna się odezwał.

- Chcesz powiedzieć, że całkiem przypadkiem natknęłaś się na moje obozowisko, czy tak? - Znow nieprzyjemna, ironiczna nuta zabrzmiała w jego głosie.

- Zobaczyłam światło - odrzekła z wahaniem Brandy, wyężając wzrok, by dojrzeć coś więcej niż tylko ciemną sylwetkę nieznajomego. - To był krzepiący widok.

Niespodziewanie odniosła wrażenie, że nie powinna się radować przedwcześnie. Kim był ten niesympatyczny człowiek? Co robił w środku nocy na pustyni?

Wypalona ogniem gruba gałąź rozpadła się na pół; dwie jej części z trzaskiem utonęły w ogniu. Płomienie strzeliły do góry i wówczas powiększony krąg światła objął mężczyznę. W jego dłoni złowieszczo błysnął nóż. Brandy strach ścisnął za gardło.

Szybkim, spłoszonym spojrzeniem omiotła twarz mężczyzny. Pod szerokim rondem kapelusza dojrzała jedynie blask oczu i ciemny zmierzwiony zarost pokrywający szczękę. To był kilkudniowy zarost, który nie zdążył jeszcze przeobrazić się w prawdziwą brodę.

Mężczyzna ubrany był w ciemną koszulę i zamszową kamizelkę, która podkreślała szerokość jego ramion. Wytarte dzinsy mocno opinały mu biodra i uda. W migotliwym świetle ogniska wydawał się o wiele potężniejszy, niż z początku sobie wyobrażała, i w jakiś niewytłumaczalny sposób groźny... Najwyraźniej nie wzruszył go fakt, że Brandy zgubiła drogę do domu. Irytowało go jedynie, że na tej drodze napotkała jego obozowisko. A więc był zły, że go odnalazła... A to mogło jedynie oznaczać, że nie powinien się tu znajdować!

Brandy z trudnością przełykała ślinę. Czyżby napotkała złodzieja bydła? To było całkiem logiczne wyjaśnienie. W ostatnich czasach kradzieże bydła stały się plagą większą jeszcze niż w legendarnych czasach Dzikiego Zachodu. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większej nabierała pewności, że nieznajomy był pospolitym koniokrądem...

Nie był przecież kowbojem z sąsiedztwa. Większość z nich znała przecież z widzenia, a poza tym w dobie transportu samochodowego kowboje nie musieli obozować nocą w terenie. Tak

czy owak, niezależnie z jakiego powodu ten mężczyzna znajdował się teraz sam na pustyni, kryło się w tym coś niedobrego. Znalazła się być może w trudnej sytuacji. Poznała go, wiedziała, że tu obozował... I mogła go w każdej chwili zadenuncjować... Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy powtórnie zerknęła na przedmiot, który dzierżył w dłoni.

- Nie chcę ci sprawiać kłopotu - podjęła drżącym głosem. - Wskaż mi tylko kierunek do domu Amesów, a zaraz sobie pójdę.

- Czyżby? - zdziwił się z nieprzyjemnym uśmiechem. Wśród ciemnego zarostu zabłysły na moment białe zęby. - Znów mogłabyś się zgubić, nieprawdaż? - Złośliwe iskierki w jego oczach świadczyły o rozbawieniu.

Brandy w lot pojęła, co miał na myśli. Nie zamierzał pozwolić jej odejść. Nagle wpadła w panikę. Gdy mężczyzna zrobił krok w jej stronę, zrozumiała, że stanęła przed ostatnią być może szansą.

Ze zduszonym okrzykiem obróciła się na pięcie i rzuciła przed siebie na oślep. Byle dalej, byle prędzej... Nie zdawała sobie nawet sprawy, dokąd biegnie - i nagle wpadła w gąszcz kłujących krzewów i kaktusów, potknęła się i z okrzykiem przestachu na ustach upadła głową naprzód, uderzając o ziemię z taką siłą, że natychmiast straciła oddech. Z trudem chwytając powietrze, przewróciła się na plecy, nie zważając na kłujące poszycie, które rozdzierało jej bluzkę i skórę. Gdy mrugając powiekami powoli otworzyła oczy, zobaczyła pochylonego nad sobą wysokiego mężczyznę. Na chwilę zamarła w bezruchu.

- Zachowujesz się nierozsądnie - powiedział gniewnie, pochylając się nad nią coraz niżej.

- Nie dotykaj mnie! - Skulona ze strachu przywarła mocniej do ziemi, ale głos jej zabrzmiał zadziwiająco gromko.

- Zamknij się! - Chwycił ją za ramiona i bezceremonialnie postawił na nogi, ona zaś zaczęła się wyrywać i kopać z taką furją, że w końcu ugodziła go boleśnie w łydkę. - Ty idiotko! - krzyknął. - Co u licha usiłujesz udowodnić?

Z niewiarygodną wprost zręcznością chwycił ją za nadgarstki, uniósł do góry i opierając na biodrze, wsadził sobie pod ramię. Wierzgała nogami w powietrzu, lecz on niósł ją bez specjalnego, jak się zdawało, wysiłku z powrotem w kierunku ogniska.

- Puść mnie, bo zacznę krzyczeć! - ostrzegła ochryłym z wściekłości głosem.

- Ależ krzycz sobie, ile sił w piersiach - odparł spokojnie. - Może tutejsze grzechotniki przybędą ci na ratunek.

Świadomość, że nikt nie usłyszy jej wołania sprawiła, że zaczęła jeszcze gwałtowniej walczyć ze stalową obręczą, która ścisnęła jej rękę.

Mężczyzna dotarł do ogniska, ani na chwilę nie zwalniając uścisku. Potem postawił Brandy na ziemi.

Nieoczekiwanie uwolniona zaczęła znów biec na bezpieczną pustynię. Mężczyzna ruszył za nią i chwilę później, zatopiwszy palce w jej miękkich ramionach, przycisnął ją do swojej klatki piersiowej.

- Puść mnie! - zasyczała gwałtownie.

- Zgubiłaś się, czy tak? - mówił drwiąco prosto do jej ucha. - A może twoi przyjaciele czekają tam, po drugiej stronie wzgórza?

- Nie! - zaprotestowała zmieszana. - Powiedziałam już, że się zgubiłam. Przysięgam, że jestem całkiem sama...

Za późno zorientowała się, że popełniła błąd. Lepiej było utrzymywać go w przekonaniu, że ktoś na nią czeka. Może by się opamiętał, zanim by ją skrzywdził... Teraz zaś był panem sytuacji.

Strach dodał jej sił i znów spróbowała ucieczki. Łokciami i piętami wymierzała mu kuksańce i wykręcała się sprężysto, usiłując rozerwać stalowy uchwyt jego dłoni. Na próżno. W końcu zaczęła łkać w bezsilnej złości.

- Nie zamierzam dłużej znosić tych napadów hysterii - warknął.

W tym samym momencie udało jej się wreszcie zaczepić stopę o jego kolano i podciąć go. Nieznacznie rozluźnił uścisk, ale zdołał jeszcze pociągnąć ją za sobą i, nim zdążyła zrobić następny ruch, leżała pod nim jak długa, przygnieciona miążdżącym ciężarem jego ciała. Łkając, usiłowała wydrapać mu paznokciami oczy, ale nawet na centymetr nie mogła zbliżyć się do celu; mężczyzna chwycił ją za nadgarstki i przygwoździł ręce nad głową.

Mimo beznadziejnego położenia, nadal walczyła o wolność.

- Czy nie masz zamiaru przestać? - burknął rozzłoszczony. - Robisz z siebie kompletną idiotkę.

Uspokoiała się na chwilę, żeby zaczerpnąć oddechu.

Głowę miała wykręconą na bok, a powieki mocno zaciśnięte. Mimo to czuła na policzku palące ciepło oddechu nieznanego

mężczyzny, a w nozdrzach jego ostry, męski zapach. Miała wrażenie, że za moment się udusi.

- Puść mnie, proszę - wyjąkała desperackim szeptem. - Nie chcę, żebyś mnie dotykał.

- Doprawdy? - Roześmiał się głucho. - Powinienem cię zgwałcić. Taka diablica jak ty na to zasługuje.

Mimo że żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust, serce jej krzyczało z przerażenia. Tak bardzo bała się o swoje życie, że nawet nie wzięła pod uwagę możliwości gwałtu. Przekręciła głowę i otworzyła swe niebieskozielone oczy, teraz okrągłe ze strachu.

Ten gwałtowny ruch sprawił, że jej usta znalazły się na wprost jego warg - gorących, stanowczych i tak samo zaciśniętych jak jej własne. Sparaliżowana tym nieoczekiwanym kontaktem, leżała pod nim w bezruchu, prawie nie oddychając. Lada moment spodziewała się brutalnego pocałunku i na samą myśl o nim ogień palił jej żyły.

- Proszę... - szepnęła, gdy nic się nie wydarzyło. - Proszę, pozwól mi odejść. Przysięgam, że nie powiem policji...

Poruszenie jej warg tuż przy jego ustach zdawało się przełamać czary, ale Brandy nadal nie wiedziała, co nieznajomy miał zamiar teraz zrobić.

W czasie szamotaniny zsunął mu się kapelusz. Brandy bezwiednie omiotła wzrokiem ciemne, prawie czarne włosy, piętrzące się niedbale nad czołem. Minęła minuta pełnej napięcia ciszy, nim odpowiedział.

- O czym nie powiesz policji? - Ciemne źrenice zwały się cynicznie.

- Nie... nie powiem im, że cię tu widziałam - obiecała drżącym głosem. - To znaczy... właściwie nie widziałam, jak kradłeś bydło, więc to będzie prawda. Obiecuję, że nikomu nie powiem, że cię spotkałam.

- A więc odgadłaś, dlaczego tu jestem? - Usta wykrzywił mu zagadkowy uśmiech.

Przytaknęła z wahaniem, wyrzucając sobie w duchu, że wspomniała o kradzieży bydła. Ta uwaga mogła go popchnąć do czynów ostatecznych.

Z niewiarygodną jak na tak potężnego mężczyznę zręcznością zsunął się z niej i jednym płynnym ruchem powstał. Pochylał się teraz nad nią, swobodnie opierając ręce na biodrach.

- Naprawdę obiecujesz, że utrzymasz w tajemnicy mój mały sekret? - spytał z wyraźnym rozbawieniem i lekką drwiną w głosie.

- Jeśli tylko pozwolisz mi odejść - Brandy dodała pospiesznie.

Z wolna podniosła się do pozycji siedzącej i uważnie przyglądała nieznajomemu. Po raz pierwszy zauważyła rozdarcia oraz plamy krwi na swej białej bluzce. Ze wszystkich sił starała się choć trochę osłonić, żeby wyglądać przyzwoicie.

- Jeśli... jeśli mógłbyś udzielić mi jakichś wskazówek... - zająknęła się nerwowo.

- Gdzie mieszkasz? - przerwał stanowczo.

- Jestem córką Stewarta Amesa. Nasz dom znajduje się tylko dwadzieścia kilometrów na wschód od rancza Saguarro, na wzgórzach

- wyjaśniła Brandy bardzo spokojnym tonem, ponieważ wreszcie opuścił ją strach.

Stał przez chwilę nieruchomo, potem zaś lekko potrząsnął głową.

- Nie znam dobrze tej okolicy. Pamiętam tylko, że był jakiś dom przy wyżwirowanej drodze, ale nie potrafię ci wytłumaczyć, jak tam stąd trafić. Zwłaszcza teraz, po ciemku, moje wskazówki mogą okazać się niewystarczające.

Brandy uwierzyła mu bez zastrzeżeń. Jakaś ledwie uchwytna nuta w jego głosie sprawiło, że mu zaufała.

Niezdarnie wstała z ziemi, przytrzymując jedną ręką poły bluzki. Musiała podnieść wysoko głowę do góry, by spojrzeć mu w twarz.

- Wystarczy mi nawet niewielka wskazówka - zapewniła go pospiesznie. - Jeśli rozpoznam okolicę, sama znajdę drogę do domu.

- Czy rodzice zaczną cię szukać? - Spojrzał na nią uważnie, przyciągając jej niebieskozielone, szeroko otwarte oczy.

Przez chwilę rozważała, czy powiedzieć mu prawdę; dotychczas mówiąc prawdę dobrze na tym wychodziła...

- Nie jestem pewna - wyznała szczerze. - Dziś wieczorem wyszli, zależy więc, o której wrócą, i czy po powrocie do domu sprawdzą, czy jestem u siebie.

- Rozumiem, że równie dobrze dopiero rano mogą zorientować się, że nie wróciłaś na noc? - upewnił się nieznajomy.

- To prawda. - Brandy uparcie wpatrywała się w swoje stopy. Sprawiał wrażenie, jakby starannie rozważał jej słowa.

- Mimo że najchętniej bym się ciebie pozbył - powiedział w końcu - nie mogę pozwolić, byś błędziła nocą po pustyni. Możesz przecież nie trafić do domu... Jeszcze upadniesz i złamiesz sobie nogę, a potem ktoś trafi po twoich śladach na moje obozowisko. I, oczywiście, zostanę oskarżony. - Odwrócił się od niej do ognia i przez chwilę przyglądał płomieniom, nerwowo pocierając zmierzwioną brodę. - Nie potrzebuję kłopotów.

- Ale... - Brandy zaczęła protestować.

- Żadnych „ale”. - Uniósł dłoń w stanowczym geście. - Zostaniesz tutaj na noc. A jutro cię odwiozę.

- Nie mogę tu z tobą zostać. - Wypowiedziała te słowa prędkiej, niż zdążyła pomyśleć.

Zerknął na nią przez ramię. W jego ciemnych oczach pojawił się jakiś wilczy błysk.

- O co chodzi? Nie masz zaufania do koniokradów?

Brandy przełknęła ślinę i mocniej ściągnęła bluzkę.

- A powinnam ci ufać? - spytała z pozorną odwagą.

- Jediną rzeczą, którą tej nocy będziemy się dzielić, będzie ciepło ogniska - rzekł stanowczo. - Oczywiście, jeśli nadal będziesz stała tam, gdzie teraz, nie odniesiesz z tego wiele korzyści.

Dotąd z powodu strachu i szamotaniny nie odczuwała chłodu pustynnej nocy. Dopiero teraz poczuła, jak zimno przenika cienki materiał jej bluzki. Powstrzymując drżenie, zbliżyła się do ogniska.

Ten gest z jej strony był wyrazem tymczasowego zawieszenia broni. Ale nie spuszczała z oczu swego rozmówcy, nie wiedząc, jak dalece może mu zaufać.

Gdy z lubością grzała się przy ogniu, kątem oka spostrzegła, że mężczyzna nagle sięgnął ręką do boku i z pochwy przytroczonej do paska wyciągnął nóż. W świetle ogniska złowieszczo zabłysło stalowe ostrze. Brandy znów przeszył strach.

Zdawało się, jakby mężczyzna nie zauważył, że Brandy pospiesznie cofnęła się o krok.

- Głodna jesteś? - Przeszedł na drugą stronę ogniska do zmontowanego z patyków prowizorycznego różna.

- Tak - przyznała cichym głosem, widząc małe zwierzę nadziane na szpikulec.

Mężczyzna odkroił udko i podał Brandy.

- Co to jest? - spytała, siadając po turecku przy ognisku.

- Królik. - Odkroił drugie udko dla siebie. - Pewnie będzie trochę za twarde, ale można zjeść.

Brandy ugryzła kęs i stwierdziła w duchu, że mięso było mocno żylaste. Była jednak zbyt głodna, by przywiązywać do tego wagę. Łapczywie, nim zdążyła skupić myśli, obgryzła całe mięso do kości.

- Sam go upolowałeś? - spytała.

- Tak.

- Jednym strzałem?

- Tak - Na jego twarzy odmalowało się zaciekawienie. -

Dlaczego pytasz?

Słaby uśmiech wypłynął jej na wargi.

- To był wystrzał, który spłoszył mego konia.

- Chcesz więc powiedzieć, że to wszystko moja wina, czy tak? -
spytał z lekkim wyzwaniem.

- Nie. - Potrząsnęła głową, a jej złote loki o odcieniu miodu
wykonały zalotny taniec. - Byłam tak pochłonięta obserwowaniem
zachodu słońca, że zapomniałam uwiązać konia. To był mój błąd.

- Masz rację - przyznał bezlitośnie.

Brandy oderwała zębami kolejny kawałek mięsa i przeżuwała w
milczeniu. Była zła, ten nieznajomy, arogancki człowiek miał jeszcze
czelność ją pouczać. A może jednak podświadomie obwiniła go za
ucieczkę swego konia? Ostatecznie miała większe prawo do prze-
jażdżki po pustyni, niż on! On był tylko zwykłym, marnym
złodziejem!

ROZDZIAŁ DRUGI

Po zjedzeniu królika Brandy dostała na deser owoce kłującego gruszkowatego kaktusa. Zaspokoiwszy głód, popijała małymi łykami gorącą, mocną kawę z metalowego kubka. Miała przemożną ochotę dłużej rozkoszować się aromatycznym napojem, ale ponieważ był to jedyny kubek, musiała się pospieszyć.

- Doskonała kawa - wymamrotała, podając mężczyźnie pusty kubek. - Cały posiłek mi smakował. Byłam głodna jak wilk.

Mężczyzna skinął tylko głową i ponownie napełnił blaszany kubek.

- Często tak się odżywasz? - Brandy z zaciekawieniem przechyliła głowę. - To znaczy, sam zdobywasz pożywienie?

- Zawsze, gdy jestem na pustyni - powiedział, niedbale wzruszając ramionami. - Nie chcę się obciążać wożeniem wiktuałów.

Oczywiście, pomyślała rozdrażniona Brandy, zapewne często musiał się szybko przemieszczać, żeby zmylić pościg. Wygodniej poruszać się bez bagażu.

- Często tu bywasz?

Dłuższą chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

- Wystarczająco często - brzmiała wymijająca odpowiedź. Upił potężny łyk kawy, nie zważając na to, że była potwornie gorąca.

Analizując jego odpowiedź, doszła do wniosku, że celowo nie wyraził się jaśniej. Im mniej będzie wiedziała o jego działalności, tym lepiej. Pewnie nie ufał jej, że dotrzyma obietnicy milczenia.

Właściwie sama jeszcze nie wiedziała, jak postąpi. Oczywiście, jeśli wyjdzie z tego cało...

Mężczyzna tymczasem wypił kolejny łyk kawy, po czym reszkę wylał na ziemię. Energicznie wstał i podszedł do siodła porzuconego kilka metrów dalej i ledwie widocznego w świetle zanikających płomieni. Do łęku przytroczone były dwie duże torby. Otworzył jedną z nich i wyciągnął białe pudełko.

Brandy nie potrafiła przezwyciężyć ciekawości.

- Co to jest? - spytała, gdy z pudełkiem w ręce zbliżał się ku niej.

- Apteczka - odparł, nim sama zdążyła zauważyć znak krzyża na wieczku. - Pora oczyścić ci rany - dodał stanowczo.

Brandy zerknęła pobieżnie na swoje ramiona, gdzie jaskrawoczerwone ślady po kolcach wyglądały dosyć groźnie. W rzeczywistości wcale jej nie doskwierały.

- Nic mnie nie boli - wyszeptała, podświadomie protestując przeciw zabiegowi. - Naprawdę nic nie czuję.

Mężczyzna jednak klęczał już przy niej z kapeluszem odchylonym do tyłu. Wyjął butelkę z płynem antyseptycznym i nasączył nim gazę.

- Poczujesz, gdy wda się infekcja - zawyrokował. Brandy wiedziała, że miał rację. Nigdy nie wiadomo, jakie bakterie mogą znajdować się na kłujących kolcach. Mimo to czuła się nieswojo na samą myśl, że właśnie on będzie jej udzielał pomocy.

- Pozwól, zrobię to sama - powiedziała stanowczo, wyciągając rękę po gazę.

- Mnie będzie łatwiej. - Chwycił zrećnie jej wyciągniętą rękę i zaczął przemywać długie zadrapanie na przedramieniu.

Światło ogniska padało teraz na niego. Po raz pierwszy mogła mu się dokładnie przyjrzeć. Jego twarz o mocnych rysach wyrażała bezwzględność i stanowczość. To tylko potwierdzało jej pierwsze wrażenie, że miała do czynienia z niebezpiecznym człowiekiem. Ciemnobrązowe, prawie czarne włosy, oczy i brwi przyciemniały jeszcze śniadą, spaloną słońcem skórę, a krótka, zmierzwiona broda ukrywała mocno zarysowaną szczękę i wydatne kości policzkowe.

Brandy pomyślała, że bez brody byłby przystojniejszy i doszła do wniosku, że zapuszczał ją, żeby trudniej go było rozpoznać. Zadziwiająca, lecz odniosła przelotne wrażenie, że mężczyzna ten przypomina jej kogoś znajomego... Ale przecież nie знаła nikogo, kto roztaczałby wokół siebie tak zniewalającą aurę męskości.

Zdziwienie jej powiększał fakt, że nieznajomy wcale nie sprawiał wrażenia człowieka ściganego. Zachowywał się z dużą dozą pewności siebie, władczo, całkiem odmiennie niż ktoś ukrywający się przed prawem, Ciekawe, dlaczego ktoś obdarzony tak niezłomną pewnością siebie i wiarą we własne siły został złodziejem bydła...?

Mężczyzna zajął się teraz drugim ramieniem Brandy. Dłonie i palce miał silne, opalone, ale nie zdradzały żadnych oznak ciężkiej pracy fizycznej. I były zadziwiająco delikatne...

Nagle zdała sobie sprawę, że wyszła obronną ręką z walki, którą z nim przed chwilą stoczyła. Był tak mocno umięśniony, że bez trudu mógł połamać jej kości, gdyby tylko ścisnął ją mocniej. Ale tego nie

zrobił. Nieoczekiwanie dla samej siebie poczuła się w jego towarzystwie trochę bezpieczniej.

Po chwili ostatecznie zadrapania na jej ramieniu zostały zdezynfekowane. Mężczyzna wrzucił gazik do ognia i znów sięgnął do pudełka.

- Dziękuję, wystarczy - odezwała się Brandy.

Spojrzał na nią z ukosa i uniósł ciemną brew.

- Zdejmij bluzkę. Oczyszczę ci zranienia na piersiach.

Brandy patrzyła na niego z niedowierzaniem. Automatycznie w obronnym geście zacisnęła palce na kołnierzyku bluzki.

- Czy naprawdę chcesz znów stracić siły na walkę ze mną? - spytał, wykrzywiając usta z lekkim rozbawieniem. - Albo sama się rozbierzesz, albo będę musiał ci pomóc... - Nie była to czcza groźba.

Zaczęła pospiesznie oddychać.

- Daj mi ten gazik. Sama oczyszczę zadrapania.

- Musiałabyś być akrobatką, żeby to zrobić. - W jego oczach pojawiły się złośliwe błyski. - Kobiece ciało nie jest mi obce. - Uśmiechnął się znacząco. - Myśl sobie, że jestem lekarzem.

- Ale nim nie jesteś - mruknęła zrezygnowana.

- Zachowując się w ten sposób, tylko utrudniasz sytuację - stwierdził rozsądnie. - Porzuć fałszywą skromność.

Niechętnie przyznała w duchu, że mówił prawdę, ale nie potrafiła powstrzymać drżenia palców, gdy rozpiniała guziki bluzki.

Kiedyś, gdy była nastolatką, bała się, że z powodu smukłej budowy ciała będzie płaska jak deska. Dopiero później, gdy pojawiły

się okrągłe, pełne piersi, poczuła ulgę. Teraz, gdy rozpięła bluzkę, była świadoma ich krągłości aż do bólu. Zażenowana, wpatrywała się bezmyślnie w szew wokół kołnierzyka jego koszuli.

Czuła chłodny dotyk gazy na swym obojczyku. Siedziała nieruchomo jak posąg, zdając sobie sprawę, że jej koronkowy stanik obnaża więcej niż połowę piersi.

- Powiedziałaś, że nazywasz się Ames - rzekł cicho. - Jak ci na imię?

Brandy wolałaby nie odpowiadać, ale zrozumiała, że nawiązywał konwersację, aby się nieco odprężyła.

- Brandy. - Głos jej lekko się łamał.

- Brandy? - Nim zabrał się z powrotem do przemywania zadrapań, przesunął wzrokiem po jej twarzy, jakby sprawdzając, czy mówi prawdę. - Szkoda, że nie nosisz przy sobie odrobiny swojej imienniczki - zażartował. - Teraz przydałby ci się mały łyk.

- Tak... - przyznała mu rację i uśmiechnęła się nieśmiało. - A... a jak ty masz na imię?

Zawahał się na ułamek sekundy.

- Jim.

Bez nazwiska, po prostu - Jim. Zrozumiała, że chce ukryć przed nią swą tożsamość. Być może wcale nie miał na imię Jim

- Muszę opuścić jedno ramiączko, Brandy, żeby przemyć to zadrapanie - ostrzegł lojalnie.

Nim zdążyła zaprotestować, zsunął jej ramiączko i dotknął wacikiem czerwonej szramy przebiegającej przez pierś. Choć była

przygotowana na ten ruch, gwałtownie wciągnęła powietrze, czując dotyk jego palców na swej skórze.

Zaniepokojony, obrzucił szybkim spojrzeniem jej twarz.

- Boli?

- Nie - zaprzeczyła szybko, oblewając się gwałtownym rumieńcem.

Pochylił znów głowę, skupiony na swym zajęciu, ale ona odczuwała nadal ogromne zażenowanie. Czuła intymną niemal bliskość tego mężczyzny i trudno jej było zachować obojętność.

- Ile masz lat? - spytał nieoczekiwanie.

- Dwadzieścia. - Brandy spojrzała nań zaskoczona. - Dlaczego pytasz?

Wykrzywił kącik ust, wsuwając ramię z powrotem na miejsce. Jego ciemne oczy błyszczały z rozbawieniem.

- Rumienisz się jak nastolatka - wymamrotał. - Albo dziewczyna.

Nowa fala gorąca rozpałała jej policzki. Z całego serca pragnęłaby zakwestionować tę spostrzegawczą uwagę, ale podświadomie wiedziała, że kłamstwo ją zdradzi. Na randkach nie wzbraniała się przed pocałunkami i pieszczotami, ale nigdy nie była wystarczająco podniecona, żeby posunąć się dalej.

- Możesz już włożyć bluzkę - powiedział, zakończywszy przemywanie ostatniego zadrapania, po czym ostentacyjnie odwrócił się.

Brandy szybko włożyła bluzkę i pozapinała guziki. Kątem oka obserwowała, jak Jim wstaje, podchodzi do siodła i z powrotem

umieszcza apteczkę w torbie. Gdy odwrócił się znów do ognia, nieśmiało przysunęła się bliżej płomieni.

- Zmęczona? - spytał.

- Owszem - przyznała niepewnie.

Gdy zerknęła na zegarek, zaskoczyło ją, że dochodziła północ.

Mężczyzna odpiął przytroczony do siodła śpiwór i rozłożył go na równej ziemi obok ogniska. Śpiwór był mały, wystarczający tylko dla jednej osoby. Brandy z trudem przełknęła ślinę.

- Możesz w nim spać - powiedział Jim.

- A ty gdzie masz zamiar się położyć? - spytała.

Rozbawionym spojrzeniem przesunął po jej twarzy, a potem po jej białej bluzce.

- Poznałem twoją skromność, nie sądzę więc, byś zaproponowała mi podzielenie się śpiworem. - Wyciągnął spod siodła ciepłą kurtkę. - Przypuszczam, że będę musiał spać przy ognisku.

- Możesz wziąć śpiwór - oświadczyła. - Ja mogę zostać przy ogniu.

- Wskakuj do śpiwora! - W jego głosie nie słyhać było rozbawienia. To był rozkaz.

Pomyślała, że jeśli nie posłucha rozkazu, ten obcesowy człowiek gotów ją tam własnoręcznie zanieść. Przechodząc obok niego, rzuciła mu spojrzenie pełne złości. On jednak nie zareagował.

Gdy zajęty był dorzucaniem do ognia, Brandy pospiesznie zsunęła buty i wślizgnęła się do śpiwora. W ogóle nie czuła się śpiąca. Obserwując strzelające do góry, jasne płomienie, zastanawiała się, czy

rodzice zauważyli już jej nieobecność w domu. Być może zaczęli nawet poszukiwania...

Przeniosła wzrok na Jima. W grubej kurtce sprawiał wrażenie jeszcze mocniej zbudowanego. Co pomyślą o nim jej rodzice, jeśli go zobaczą?

Nierozsądne pytanie. Jej własne reakcje na tego mężczyznę zmieniały się jak w kalejdoskopie. W jednej chwili ją przerażał, by zaraz wzbudzać podziw i roztaczać wokół atmosferę spokoju i bezpieczeństwa. Czasami wprawiał ją w zakłopotanie cyniczną drwiną albo traktowaniem jej jak niegrzeczne dziecko. Co do jednego miała pewność - nie był jej obojętny. Czy komukolwiek na dłużej mógł być obojętny? - zastanawiała się.

Mrugając ze zmęczenia oczami, przyglądała się żółtej mgiełce, która pokrywała niebo. Gdzie się podziały gwiazdy? To niemożliwe, żeby już był ranek... Musiała usnąć nie wiadomo kiedy... Zupełnie nie pamiętała, kiedy zasnęła. Gdy odwróciła głowę, złota kula słońca akurat wynurzyła się zza horyzontu.

Brandy westchnęła, otulając się szczelniej śpiworem. Mięśnie i kości miała sztywne z powodu nocy spędzonej na twardej ziemi.

W powietrzu czuć było jeszcze nocny chłód. Zaspana, przekreśliła się w stronę ogniska w poszukiwaniu drogocennego ciepła. Ale tam nie było już płomieni, tylko wypalony szary popiół. Nie było tam również Jima. Oszołomiona uniosła się na łokciu i rozejrzała wokół. Siodło również zniknęło.

Czyżby ją zostawił? Czyżby obawiał się schwywania, gdyby pomógł jej odnaleźć drogę do domu? Pewnie wyślizgnął się przed świtem, żeby odjechać jak najdalej na wypadek, gdyby nie dotrzymała obietnicy i go zdradziła...

W jej głowie huczał wir niespokojnych pytań, na które nie знаła jeszcze odpowiedzi. Wygramoliła się ze śpiwora i pospiesznie sięgnęła po buty. Gdy naciągnęła już jeden z nich, usłyszała z tyłu parsknięcie konia.

- Przed włożeniem lepiej wytrząśnij wszystko z butów. - Niski, zduszony głos dobiegł dokładnie zza pleców Brandy. - Jakiś skorpion mógł tam sobie uwić gniazdko.

Na dźwięk znajomego głosu Brandy odwróciła się i poczuła dziwną ulgę, widząc Jima, prowadzącego osiodłanego konia w stronę ogniska. A jednak jej nie zostawił! Wpatrując się w ciemną głębię jego oczu, nie wiedziała, co powiedzieć.

Pochyliła się i potrząsnęła butem, pomna jego ostatnich słów.

- Powinieneś wcześniej mnie obudzić - poskarżyła się z krzywym uśmiechem.

- Smacznie spałaś, a nie widziałem żadnego powodu, żeby cię budzić - odparł spokojnie. - Kawa powinna być jeszcze ciepła. Na śniadanie są owoce kaktusa. - Rzucił jej blaszany kubek, który chwyciła z trudnością.

W popiele stał mały czajnik. Brandy naląła sobie kawy i skuliła się przy wypalonym żarze ogniska. Cienka bluzka nie chroniła jej przed zimnem, usiłowała więc wykorzystać resztki ciepła

promieniującego z popiołu. Kątem oka patrzyła, jak Jim dociąga popręg na gniadym koniu.

- Dobrze spałaś?

Nie spodziewała się tego pytania.

- Tak. Dlaczego pytasz? - Głos jej zabrzmiał dziwnie bezradnie.

- Tylko się zastanawiałem. - Wzruszył obojętnie ramionami, poprawiając strzemię.

Po chwili podszedł do ognia i resztkami kawy zalał popiół.

- Czy sądziłaś, że cię zostawiłem? To właśnie cię niepokoiło?

Spojrzała prosto w jego drwiące, spostrzegawcze oczy.

- Mogłeś przecież tak postąpić - powiedziała, lekko unosząc głowę.

- Mogłem - przyznał, Wyprostował się, trzymając w ręku pusty czajnik. - Skończyłaś kawę?

Brandy szybko przełknęła resztkę letniego już napoju, podała mu kubek i obserwowała, jak chowa rzeczy do torby przy siodle. Pozostał jeszcze do spakowania śpiwór. Dreszcz przebiegł jej po skórze. Jakże by chciała znów zanurzyć się w jego ciepłe...

Wyjdźże, słoneczko, pomyślała, wpatrując się w żółtą tarczę, która wznosiła się coraz wyżej nad horyzontem. Wyjdź i ogrzej twoją pustynię.

Stanie w bezruchu tylko pogarszało sytuację. Zbliżyła się do miejsca, na którym spała, i podniosła z ziemi grubo tkany, czarny pled, stanowiący część wyposażenia śpiworu. Wytrzepała go dokładnie, ale gdy zabrała się za zwijanie, Jim wyciągnął rękę.

- Zajmę się tym - powiedział.

Oddając mu koc, wzruszyła tylko ramionami. Pewnie uważa, że nie potrafię tego zrobić wystarczająco dokładnie, pomyślała.

Podniosła z ziemi drugi, cieńszy pled, gdy kątem oka spostrzegła, że Jim przecina nożem środek koca. Odwróciła się ku niemu zdumiona.

- Co robisz?

Włożył z powrotem nóż do skórzanej pochwy przy pasku. .

- Dopiero za godzinę, albo nawet później, zrobi się cieplej. Do tego czasu zamienisz się w sople lodu. - Nie wdając się w dalsze wyjaśnienia, włożył jej koc przez głowę. - Możesz ściągnąć go w talii paskiem.

Przez kilka sekund Brandy patrzyła z niedowierzaniem na koc, który przeobraził się na jej oczach w poncho. Od razu poczuła promieniujące zeń rozkoszne ciepło.

W końcu podniosła wzrok i z uwagą przyglądała się Jimowi.

- Zniszczyłeś swój koc. - To była całkiem zbędna uwaga, ale nie omieszkała jej wypowiedzieć.

- Owszem - zgodził się bez wahania, wykrzywając usta w drwiącym uśmiechu.

Podniósł drugi koc, który Brandy w oszołomieniu upuściła i kilkoma zręcznymi ruchami zwinął go w mały rulon. Gdy oddalił się, by przytroczyć tobołek do tylnego łęku, Brandy szybko rozpięła pasek, wyciągnęła go ze szlufek spodni i przepasała się nim w talii. Właściwie powinna Jimowi podziękować, ale nie potrafiła ująć swej

wdzięczności w słowa. Poza tym wyczuwała, że on wcale nie oczekuje od niej wdzięczności.

Dopinała pasek wokół zrobionego naprędce poncha, gdy Jim wygaszał piaskiem tłący się jeszcze w ognisku popiół. Odwrócił się po chwili, żeby sprawdzić, czy jest gotowa, i dosiadł konia. Potem wypuścił nogę z lewego strzemienia tak, aby Brandy mogła się na nim wesprzeć, chwycił ją mocno za ramię i pomógł jej usadowić się z tyłu na siodle.

- Mniej więcej wiem, w którym kierunku powinien się znajdować twój dom - odezwał się, gdy wierciła się, poszukując najwygodniejszej pozycji. - Przypuszczam, że nim tam dotrzemy, spotkamy ekipę ratunkową.

Przyznała mu rację, opierając dłonie na udach. Jim nacisnął piętami boki konia i gniadosz żwawo ruszył do przodu. Przemierzili miejsce po obozowisku i skierowali się na północny zachód.

Szary popiół ogniska został pokryty piaskiem i tylko odciski stóp świadczyły o tym, że ktoś tu obozował. Wkrótce pustynia zatrze również i te ślady. Ta refleksja napęliła Brandy smutkiem. Nie wiedziała tylko, dlaczego...

Wypoczęty, żwawy koń niósł ich bez wysiłku po piaszczystym podłożu, zręcznie omijając kępy zarośli i kaktusów. Głęboka cisza poranka nie zachęcała do rozmowy. Brandy rozglądała się wokół, ale okolica nie wyglądała znajomo.

Otulona ponchem i ogrzewana ciepłem siedzącego przed nią mężczyzny, uznała przejażdżkę za udany początek dnia.

Po przejechaniu około trzech kilometrów Brandy zauważyła pewną zmianę w zachowaniu konia. Był mniej posłuszny, jakby usiłował stawiać opór wodzom. Zastanawiała się przez chwilę, czy w kopycie nie utkwiał mu kolec. Wychyliła się z siodła i uważnie śledziła chód konia, ale nie zauważyła, by faworyzował jedną nogę. Zerkając przez ramię Jima, widziała, że koń strzygł uszami, nienaturalnie wysoko podnosił głowę i rzucał nią od czasu do czasu, jakby ze wszystkich sił próbował pozbyć się wędzidla.

- Co się dzieje z koniem? - Brandy wychyliła się do przodu i ujrzała z profilu twarz Jima; usta miał zaciśnięte w ponurą linię. - Czyżby nagle miał dość dźwigania nas dwojga?

- Nie - brzmiała krótka odpowiedź.

Zatrzymał jednak konia. Muskularny gniadosz zatańczył nerwowo w miejscu, wyciągając coraz wyżej szyję.

- Do licha! - Jim zaklął pod nosem i ściągnął wodze.

Koń okręcił się wokół własnej osi, a potem rzucił galopem do przodu. Brandy chwyciła Jima w pasie, żeby utrzymać się w siodle. Koń najwyraźniej przed czymś uciekał. Albo przed kimś... Brandy zaczynała podejrzewać, że podąża za nimi ekipa ratunkowa albo... policja ścigająca koniokradów.

Galopowali jakiś czas, wreszcie koń poślizgnął się i zahamował na skalistym podłożu. Usiłowała znów chwycić Jima w pasie, ale on szybko oderwał jej rękę.

- Zeskakuj! - rozkazał i popchnął ją tak mocno, że zsunęła się z konia.

Odskoczyła na bok, obawiając się, że koń ją strąci, uciekając wraz z jeźdźcem ostrym galopem. Jim jednak nie odjechał. Zeskoczył ułamek sekundy po niej. Szeroko otwartymi oczami obserwowała, jak Jim jedną ręką przytrzymuje wodze ogarniętego paniką konia, drugą zaś zdejmuje siodło. Niedbale rzucił je wraz z czaprakiem na ziemię i zaczął szarpać się z uzdą. - Co się dzieje? - spytała zdumiona Brandy.

- Burza piaskowa - rzekł lapidarnie Jim.

A więc to nie był pościg. Brandy uważnie spojrzała na północ i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ciemna mgła na horyzoncie nie była odległym łańcuchem górskim, tylko gwałtownie nadchodzącą burzą piaskową.

Strach ścisnął ją za gardło.

Już kilka razy obserwowała niewiarygodną gwałtowność takich burz, za każdym jednak razem z bezpiecznego zacisza własnego domu. Dziś znalazła się w środku żywiołu, zagubiona i bezbronna.

Spojrzała przerażona na wysokiego, barczystego mężczyznę, który nadal mocował się z wierzgającym koniem.

- Chyba nie zamierzasz go uwolnić? - spytała, oddychając ciężko.

W tym samym momencie sprzączka przy uździe puściła, koń wyzwolił głowę z wędzidła i bez wahania rzucił się galopem do ucieczki.

- On urodził się na pustyni - skonstatował Jim. - Lepiej od nas wie, jak tu przetrwać. - Prędko chwycił siodło i filcowy czaprak. - Biegnij w stronę skał! - rozkazał.

Nim zdążyła go posłuchać, poczuła jego dłoń na ramieniu i lekkie szarpnięcie. Gdy dobiegli do skał, pociągnął ją w zaciszne zagłębienie.

- Wciśnij czaprak tam, gdzie skały łączą się, tworząc literę V - poinstruował.

Bez słowa wykonała polecenie; czuła konieczność pośpiechu. Jim zakładał, że skały wezmą na siebie uderzenie pędzącego wiatru. Gdy Brandy uszczelniała czaprakiem postrzępiony załom skalny, Jim rozkładał śpiwór na części, a potem otulił Brandy cieńszym kocem i pociągnął za sobą w dół. Gdy przycupnęli pod skałą, objął ją ramieniem, przytulił do swej mocnej klatki piersiowej i obydwójce przykrył brezentową częścią śpiwora. W cichej ciemności, jak w bezpiecznym kokonie, Brandy czuła ciepło bijące z umięśnionego ciała mężczyzny. W tym nagłym przytuleniu nie było nic intymnego; zdawała sobie sprawę, że tylko ochraniał ją przed nadchodzącą burzą.

Burza nadeszła z nagłym, ogłuszającym łomotem. Wyjący wichur niczym trąba powietrzna usiłował ich wyssać z bezpiecznego schronienia. Brandy instynktownie zacisnęła dłonie wokół talii Jima. Drobną pył przenikał do środka, zatykając maleńkimi drobinkami nos i gardło. Uderzenia piasku zdawały się nadchodzić ze wszystkich kierunków, kłując ciało niczym tysiące igieł. Brandy czuła, że Jim osłania ją swym ciałem, bierze na siebie najcięższe ataki. Powietrze, którym oddychała, było tak gorące i duszne, że tylko ostatkiem woli powstrzymywała się przed zerwaniem z siebie bezpiecznego przykrycia.

- Nie... nie mogę oddychać - wymamrotała urywanym, słabym głosem z twarzą wtuloną w szyję Jima.

Objął ją mocniej ramieniem.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, kochanie - wyszeptał. - Na pewno nam się uda. Tylko, proszę, wytrzymaj jeszcze trochę.

Minuty wlokły się nieznośnie. Burza szalała, świszczące wycie wichru i łoskot tańczącego wokół piasku zdawały się nie mieć końca. To był koszmar... Gdy Jim próbował oderwać twarz Brandy od kołnierza swej kurtki, który pełnił rolę swego rodzaju filtru - ona nieoczekiwanie stawiała opór i tylko głębiej wtuliła głowę w materiał.

- Brandy... - Przesunął delikatnie palcami po jej kręconych włosach. - Brandy, już wszystko w porządku. Możesz wychylić głowę. - Głos miał ciepły, spokojny.

Gdy nadal się nie poruszyła, zdjął jej rękę ze swej talii i odsunął ją delikatnie od siebie. Przez chwilę siedziała nieruchomo, potem uderzona dziwną, tajemniczą ciszą, wolno uniosła powieki. Część śpiwora leżącą na ziemi trudno było odróżnić od podłoża, ponieważ pokrywała ją gruba warstwa piasku.

- Nie mogę uwierzyć - westchnęła Brandy, wolno wdychając świeże powietrze.

Małe cząsteczki kurzu nadal falowały na lekkim wietrze, ale burza już przeszła. Jim oparty o skałę siedział obok niej.

- W co takiego nie możesz uwierzyć? - Jego ciemne oczy były łagodne i wesołe.

- Myślałam, że burza nigdy się nie skończy. - Brandy uśmiechnęła się, patrząc na niebieskie niebo ponad ich głowami. Potem nieśmiało spojrzała Jimowi w oczy.

W ich ciemnych głębiach pojawiły się jakieś tajemnicze błyski. Wyciągnął rękę i dotknął palcem zadartego czubka jej nosa, a potem pogładził zakurzony policzek. Pod wpływem tej subtelnej pieszczoty serce Brandy zaczęło bić jak oszalałe.

- Twoja skóra przypomina papier ścierny. - Wykrzywił usta z udawanym niesmakiem.

- Szkoda, że nie widzisz swoich wąsów! - odparła, śmiejąc się radośnie.

Uśmiechnął się również - szerokim, leniwym uśmiechem - po czym oderwał dłoń od jej twarzy i wstał. Wyciągnął rękę, aby pomóc jej również stanąć na nogi. Bez wahania umieściła swoje dłonie w jego mocnym uścisku.

Gdy już stanęła, nie wycofała dłoni... Przechyliła głowę w bok i odezwała się pół żartem, pół serio:

- Czy zauważyłeś, że nie podziękowałam ci jeszcze za wszystko, co dla mnie zrobiłeś wczorajszej nocy i teraz?

- Powinienem zgłosić się po nagrodę? - zapytał głuchym głosem, przesuwając wzrokiem po jej ustach.

Zbyt wiele razem przeżyli w ciągu ostatniej nocy i dzisiejszego poranka, aby Brandy mogła czuć zażenowanie. Uniosła się na palcach, rozpościerając palcem na jego piersi, by utrzymać równowagę, a Jim objął dłońmi jej głowę.

Zamrugnęła rzęsami, gdy poczuła szorstkie dotknięcie jego wąsów, a potem ciepło warg zamykających się wokół jej ust. Pocałunek był delikatny i stanowczy zarazem; nie wyczuła w nim jakiegokolwiek niepewności, żadnego niezdecydowania, podobnie jak w mężczyźnie, który ją nim obdarzał.

Gdy skończył ją całować, poczuła się ogromnie rozczarowana. Spojrzała mu w oczy okolone czarnymi jak smoła rzęsami, ale nie potrafiła odczytać ich wyrazu. Z wolna przyciągnął ją znów do siebie.

Odchyliła głowę i cała drżąca czekała na pocałunek. Nagłe pożądanie rozpaliło w niej ogień, który szybko rozprzestrzenił się po całym ciele. Poczuła się słaba i bezbronna, jakby ulepiona z miękkiej gliny... Jim przytulił jej uległe ciało do swej mocnej piersi.

Obezwładniona namiętnością, jakiej dotąd nie zaznała, słyszała tylko mocne i szybkie bicie własnego serca. Na ustach, które rozwarła pod władczym naporem jego warg, czuła szorstki piasek pustyni. Odurzający męski zapach ogarnął ją niczym upajająca woń palącego się kadzidła. Niemal na każdym kawałeczku ciała czuła dotyk jego gorących ust.

Gdy skończył ją całować i nieznacznie odsunął od siebie, nieświadomie wydała westchnienie żalu, a potem ukryła twarz na jego piersi, by uspokoić wzburzone zmysły.

Trzymał ją w ramionach subtelnie i nonszalancko zarazem. Po chwili w taki sam, nieco obojętny, sposób pocałował ją w czubek głowy.

Zaintrygowana oderwała głowę od jego piersi i spojrzała mu w oczy. Twarz Jima była nieodgadniona jak kamień. Wykorzystał jej nagły ruch i całkowicie uwolnił ją z objęć.

- Byłoby mądrzej, gdybym tego nie zrobił - szepnął i odwrócił się, marszcząc swe ciemne brwi.

Brandy z zażenowaniem wybuchnęła zażenowanym śmiechem.

- Dlaczego miałbyś żałować, że mnie pocałowałeś? Ja wcale nie żałuję!

Unikając jej wzroku, Jim podniósł czaprak i położył go na siodle.

- Sprawy zanadto się już pogmatwały, by można je było łatwo wytłumaczyć - rzekł zagadkowo. - Oczywiście, to moja wina. Lepiej będzie, jeśli zapomnimy o wszystkim.

- Dlaczego? - nalegała.

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała. - Niedbale wytrzepał wewnętrzną część śpiwora i również położył na siodle.

Odniosła wrażenie, że znalazła się nagle w zawiłym labiryncie, z którego Jim nie miał zamiaru jej wyprowadzić.

- Ludzie całują się ot tak sobie, zwykle gdy się sobie podobają - usiłowała się usprawiedliwić. - Być może wyglądam młodo, ale nie jestem już nastolatką, która każdy pocałunek uważa za wyznanie miłości.

- Jesteś bardzo młoda i wrażliwa - ocenił Jim z nagłym błyskiem w oku.

Ogarnęła ją nieuzasadniona złość.

- Mówisz tak, ponieważ sam jesteś nie najmłodszy - odparowała złośliwie, ale zaraz pomyślała, że zrobiła mu przykrość, na którą nie zasłużył. - Och, nie chciałam cię urazić - przeprosiła. - Po prostu nie rozumiem, dlaczego żałujesz, że mnie pocałowałeś.

- Lubię cię, Brandy. - Uśmiechnął się do niej zagadkowo. - Gdybym już wczoraj wiedział, z kim mam do czynienia, nasza dzisiejsza rozmowa nie miałaby miejsca.

Brandy westchnęła, ponieważ konwersacja wydawała się beznadziejna.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Jim? Przyglądał jej się uważnie dłuższą chwilę, nim odpowiedział.

- Nie wiesz o mnie wielu rzeczy, Brandy.

Zrezygnowana odwróciła się i uniosła dłoń w bezradnym geście.

- Domyślam się, że jesteś żonaty i masz troje dzieci. Czy to ma mnie zaszokować, a może sprawić, bym poczuła się jak jawno grzesznica?

Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Nie jestem żonaty - oświadczył, z trudnością kryjąc rozbawienie. - Ale chodźmy już, Brandy. Daleka droga przed nami.

Na krótką chwilę zapomniała o niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znalazła. Dopiero teraz przypomniała sobie o rodzicach, którzy prawdopodobnie z niepokojem oczekiwali jej powrotu. Ona zaś rozmawiała sobie w najlepsze ze zwykłym złodziejem, który w dodatku usiłował wzbudzić jej zainteresowanie jakimiś tajemniczymi słowami!

Postąpiła krok do przodu, gdy nagle wzrok jej padł na porzucone siodło i resztę ekwipunku.

- Masz zamiar to tutaj zostawić? - zdziwiła się.

- Zabiorę je później - padła krótka odpowiedź.

Jim maszerował przodem - długimi, energicznymi krokami. Musiała wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Patrzyła z niepokojem na ogromną przestrzeń porośniętą gdzieś trawami i kaktusami, która niczym falujący ocean rozciągała się przed nimi. Jak okiem sięgnąć nie widać było śladu ludzkiego życia.

- Jak chcesz odnaleźć tu swojego konia? - spytała niepewnie.

- Prawdopodobnie, gdy burza się skończyła, pogalopował w stronę zagrody i wodopoju.

Zagroda! Brandy przemknęła przez głowę myśl, że pewnie tam ukrywał skradzione bydło do czasu zorganizowania dalszego transportu... Ale do licha, przecież ostatnio w okolicy nie słyszało się o kradzieży bydła... Skradziono tylko konie...

Rozmyślając, ukradkiem przypatrywała się męskiemu, wyrazistemu profilowi Jima. O czym teraz myślał? Usiłowała zgłębić tajemnicę jego dziwnej odpowiedzi sprzed kilku chwil. Na próżno. Przede wszystkim jednak nurtowało ją pytanie, dlaczego taki przedsiębiorczy, inteligentny człowiek został złodziejem bydła. To wszystko wyglądało na jakieś nieporozumienie...

- Jim...? - zawahała się. - Czy całe życie zajmujesz się kradzieżą bydła? To znaczy... czy nigdy nie myślałeś o innym zajęciu?

- Zastanawiałem się właśnie, kiedy zaczniesz. - Popatrzył na nią z rozbawieniem.

- Co zacznę? - Westchnęła poirytowana. I znów uniknęła jasnej odpowiedzi na jej pytanie!

- Miałem na myśli iście kobiecą skłonność do sprowadzania mężczyzn na właściwą drogę. Twoje wrodzone predyspozycje w końcu wyszły na jaw. - W jego oczach rozbłysły wesołe iskierki, a usta wykrzywiły się, jakby tłumił śmiech. - Czy chcesz zrobić mi wykład umoralniający?

- Och, byłam tylko ciekawa - obruszyła się.

Mimo to czekała na właściwą odpowiedź. I czekała na próżno. W końcu, jakby poddając się nieuchronnemu losowi, zaniechała indagacji. Maszerowali w milczeniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Szli krętą, wijącą się drogą wzdłuż wyschniętego koryta rzeki pośród kęp krzewów i kaktusów. Słońce stało już wysoko nad horyzontem i zaczynał doskwierać upał. Jim zdjął kurtkę i rozpiął kamizelkę, Brandy zaś ściągnęła z ramion poncho.

W połowie drogi pod górę Brandy zatrzymała się, żeby zaczerpnąć oddechu. Złociste włosy na jej czole pod wpływem potu skręciły się w drobne loczki. Jim wspiał się na górę pierwszy i wyciągnął rękę.

- Tutaj możesz odpocząć! - zawołał.

Chwyliła wyciągniętą dłoń i wgramoliła się na stromy brzeg koryta, po czym usiadła w skąnym cieniu rosnącego tu paloverde opierając łokcie na kolanach.

- Widocznie trochę za bardzo przywykłam do jeżdżenia - wymamrotała przepaszająco.

- Takie słońce każdego pozbawia energii. - Otworzył manierkę i podał jej.

Woda była słonawa i ciepła, mimo to przyjemnie łagodziła nieznośną suchość w gardle. Upiła jeszcze jeden łyk i oddała Jimowi manierkę. W tej samej chwili usłyszała dziwny dźwięk. Czyżby był to warkot silnika...? Przemknęło jej przez myśl, że ma omamy spowodowane upałem i zmęczeniem.

- Jim, chyba... słyszę helikopter. - W tym momencie nabrała niezachwianej pewności. Zasłoniwszy oczy przed blaskiem słońca,

popatrzyła na niebo w kierunku skąd dobiegał dźwięk. - O, tam leci! - Promienie słońca zaślnęły na metalowym kadłubie helikoptera.

Jim obserwował niebo zmrużonymi oczami spod głęboko nasuniętego ronda kapelusza. Potem wolno przeniósł wzrok na Brandy.

- To ekipa ratunkowa - skonstatował.

- Wiem... - W głosie Brandy nie czuć było ulgi.

Helikopter zwiastował wybawienie; w przeciągu kilku minut zostanie ocalona, zawieszona prosto w ramiona oczekujących na nią rodziców... A jednak nie czuła ulgi. Zrozumiała, że nie zniesie sceny aresztowania Jima - nie po tym, co dla niej zrobił! Nie bacząc na to, czy postępuje moralnie, czy też nie, postanowiła pomóc mu w ucieczce.

- Jeszcze nas nie zauważyli. - Niespokojnymi oczami śledziła uważnie jego beznamiętną twarz. - Możesz się ukryć w tej kępie akacji. Nigdy się nie domyślą że tu byłeś, jeśli natychmiast się schowasz!

- I nie zamierzasz mnie wydać? - Uśmiechnął się do niej krzywo.

- Nie. - Zerknęła znów przez ramię na zbliżający się helikopter. - Są tuż-tuż. Pospiesz się, nim cię zobaczą!

Jim podniósł się wolno, jakby od niechcienia. Brandy wstała również, ale gdy nań spojrzała, nadal łagodnie się uśmiechał. Och, gdyby wiedział, jak ciężko było jej się z nim rozstać!

- Uważaj na siebie - wyszeptała zupełnie roztrzęsiona.

- Nigdzie się nie udaję, Brandy. - Miał przeraźliwie poważny wyraz twarzy.

- Ale... - Niespokojnie patrzyła przez ramię, niczego nie pojmując.

Helikopter był już tak blisko, że wyraźnie widziała pilota oraz siedzącego obok pasażera; w tym samym momencie spostrzegła, że pilot wskazuje ręką w ich kierunku. A więc było za późno. Za późno...

- Och, Jim! - W oczach miała łzy. - Dostrzegli nas. Widzieli ciebie!

Wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach.

- Brandy, przykro mi, bardzo mi przykro - wyszeptał zagadkowo.

- Ależ to mnie jest przykro - podkreśliła. Położył rękę na jej ramieniu i odwrócił ją w przeciwnym kierunku.

- Zobacz, tam jest płaskie miejsce, na którym prawdopodobnie wylądują. - Popchnął ją lekko we wskazanym kierunku.

- Nie zamierzasz spróbować ucieczki? - Brandy nie mogła zrozumieć, co się dzieje. - Jeszcze masz szansę - nalegała, ale on nie odpowiadał, tylko popychał ją nadal ku miejscu przeznaczenia. - Chcesz, żeby cię złapali? Och, pójdiesz do więzienia! - Musiała krzyczeć, ponieważ jej głos tonął w warkocie silnika.

Jim przemówił dopiero, gdy dotarli do małego płaskowyzu, na którym lądował helikopter.

- Nie jestem złodziejem bydła, Brandy. - Głos miał opanowany i wyraźny.

- Ale przecież powiedziałaś...

- To ty powiedziałaś - poprawił ją stanowczo.

Dziwne, ale wydał jej się teraz zupełnie innym człowiekiem...

Popatrzyła na niego z poważną, skupioną miną, starając się zorientować, o co tu chodzi.

- Kimże więc jesteś? - spytała, przechylając lekko głowę na bok.

Wokół nich wzbijały się tumany szarego pyłu, ponieważ helikopter podchodził właśnie do lądowania.

Brandy odwróciła twarz, zasłaniając oczy przed gorącą zamiecią piasku. Pilot pozostał za sterem, natomiast drugi mężczyzna wyskoczył i mocno pochylony do przodu podbiegł do Jima i Brandy.

Twarz mężczyzny rozjaśniał szeroki, pełen ulgi uśmiech.

- Na Boga! - wykrzyknął, mocno ściskając rękę Jima. - Całe szczęście, że wszystko w porządku! Raymond widział twego konia galopującego w stronę zagrody. - Zerknął niepewnie na Brandy. - Panna Ames, prawda?

Brandy, całkiem odrętwiała, skinęła tylko głową, podczas gdy zrobione z koca poncho łopotało jak flaga na wietrze. W głowie miała zamęt myśli, kłębiły jej się pytania, na które pragnęła znaleźć odpowiedź. Mężczyzna, który wysiadł z helikoptera, doskonale znał Jima, i, jak się zdawało, to przede wszystkim na ratunek Jimowi wyruszyła ekspedycja. A więc naprawdę miał na imię Jim... I nie był złodziejem bydlą. Był niewątpliwie kimś ważnym...

Nagle Brandy przypomniała sobie swoje pierwsze wrażenie, gdy spotkała Jima na pustyni. Wydawało jej się wówczas, że go skądś zna.

Mrużąc oczy, przyjrzała mu się znów. Rysy twarzy maskowała zapuszczona broda, a głęboko naciągnięty kapelusz skrywał czoło. Natomiast jego oczy wyrażały chłodną czujność.

- Jesteś gotowa? - spytał.

Jim powtórzył pytanie zadane przez drugiego mężczyznę, ale Brandy zdawała się niczego nie słyszeć. Patrzyła nań szeroko otwartymi oczami, rozpaczliwie usiłując go rozpoznać.

- Panno Ames, czy pani jest gotowa?

Panno Ames! Dlaczego zwrócił się do niej w tak formalny sposób! Brandy otrząsnęła się z odrętwienia. Gdyby choć wypowiedział jej nazwisko z lekką drwiną w głosie, jak to miał w zwyczaju, zamiast tej zimnej, obojętnej grzeczności! Przecież od samego początku byli dla siebie tylko Jimem i Brandy...

- Tak... - Skinęła głową, ponieważ cicho wypowiedziane słowo zagłuszył warkot silnika.

W końcu ten drugi mężczyzna chwycił ją za ramię i poprowadził do otwartych drzwi helikoptera. Pomógł jej usadowić się na tylnym siedzeniu i gestem nakazał, by zapięła pasy.

Brandy nawet nie spojrzała na Jima, który niebawem zajął miejsce obok niej. Czowała się zdradzona i oszukana.

Mężczyzna, który usiadł z przodu, wykrzyknął do pilota:

- Nadałeś przez radio wiadomość, że wraz z Corbettem znaleźliśmy również Brandy Ames?

Pilot przytaknął, a potem helikopter zaczął powoli wznosić się do góry.

Corbett! Miała wrażenie, że dostała cios w żołądek. Przed oczami, stanął jej znajomy wizerunek ciemnowłosego i ciemnookiego mężczyzny o gładko wygolonych policzkach i silnie zarysowanym podbródku z charakterystycznym dołeczkiem. Mężczyzny, który po obu stronach zmysłowych, sardonicznie wygiętych ust miał wąskie bruzdy, zaś jego oczy lśniły zimną złością, to znów iskrzyły się drwiną...

Dlaczego go od razu nie rozpoznała? Ale czy ktokolwiek rozpoznałby w podejrzenie wyglądającym kowboju, samotnie obozującym na pustyni, sławnego aktora, Jamesa Corbetta?

Pod wpływem szoku, jakiego teraz doznała, poczuła mdłości, a ramiona zaczęły jej się trząść jak w febrze.

Jakże musiał się z niej śmiać! Zapewne uznał całe wydarzenie za niezwykle zabawne. Mogła sobie wyobrazić, jak opowiada tę historię ku ogromnemu ubawieniu swoich przyjaciół. Jakąż idiotkę z siebie zrobiła!

Policzki jej płonęły z zażenowania. Zagryzła wargę, żeby powstrzymać łkanie. To by ją zupełnie poniżyło.

Ukradkiem, spod rzęs, rzucała siedzącemu obok mężczyźnie spojrzenia pełne wyrzutu i od czasu do czasu napotykała jego obojętny wzrok. Z takim samym brakiem zainteresowania zdawał się patrzeć na nią jak na pustynny pejzaż w dole.

W końcu Brandy odwróciła się ostentacyjnie i spoglądała w przeciwną stronę. Jim musiał zdać sobie sprawę, że został rozpoznany i gra dobiegła końca. Nagle z drzeniem serca pojęła, że nadal w

myślach nazywa go... Jimem. Od dziś powinna myśleć o nim jak o sławnym aktorze, Jimie Corbetcie!

Pilot przycisnął słuchawki do uszu, a potem gestem wskazał siedzącemu obok mężczyźnie, by podniósł swoje. Mężczyzna założył je na głowę, powiedział kilka słów do mikrofonu, a potem słuchał dłuższą chwilę.

Krzywiąc się pod nosem, odwrócił głowę w stronę Jima.

- W domu Amesów są już reporterzy - zawołał. - Jakimś siódmym zmysłem wyczuli, że szukamy również ciebie. Może w tej sytuacji wolisz lądować w Saguarro?

Brandy rzuciła Jimowi zaciekawione spojrzenie. Twarz miał skupioną, usta zaciśnięte w ponurą linię. Och, jakże chciała już być w domu i zakończyć wreszcie tę żalosalną komedię. Ale wyglądało na to, że nim dotrze do siebie, będzie jeszcze musiała stawić czoło tłumowi reporterów.

- Lećmy do domu Amesów - brzmiała krótka odpowiedź.

Mężczyzna obojętnie wzruszył ramionami, co pewnie miało oznaczać, że Jim tu rządzi, po czym przekazał wiadomość pilotowi. Niebawem Brandy zobaczyła w dole znajome budynki, a na podjeździe wokół stajni nie kończący się sznur samochodów.

Gdy helikopter zaczął schodzić do lądowania, na wyżwirowanej drodze przed domem, grupa ludzi z aparatami fotograficznymi rzuciła się w jego kierunku. Przez moment mignęły Brandy przed oczami niespokojne twarze rodziców, a potem wszystko przykryła chmura pyłu wzbijanego przez helikopter.

Jim wyskoczył pierwszy i czekał na nią, ona jednak zignorowała wyciągniętą dłoń i sama zeskoczyła na dół. Jego szeroka klatka piersiowa odgradzała ją od tłumu. Z wahaniem spojrzała mu w twarz. Bała się go teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Przepraszam, panie Corbett. - Czyżby to naprawdę był jej głos? Brzmiał zadziwiająco zimno i stanowczo. - Moi rodzice na mnie czekają.

Prześlizgnęła się obok niego i podbiegła do rodziców.

Lenora, jej matka, wyglądała na spokojną i szczęśliwą. Beżowe spodnium, które miała na sobie, było doskonale skrojone i podkreślało smukłą figurę. Popielate włosy, gdzieniegdzie przetykane siwizną, nadawały jej interesujący wygląd. To w ramionach matki Brandy poszukała schronienia.

- Ale nas przestraszyłaś, kochanie - poskarżyła się Lenora Ames, ujmując twarz córki w dłonie i śmiejąc się z ulgą. - Wyglądasz jak mały brudasek!

Brandy zdawała sobie sprawę, że wygląda tak samo jak jej pokryte warstwą kurzu i piasku poncho.

- Tak, jestem brudna... - przyznała, nim odwróciła się do stojącego obok ojca.

Po chwili już była w jego potężnym, niedźwiedzim uścisku i patrzyła w śniadą, młodzieńczo przystojną twarz.

- Wszystko w porządku, Brandywine? - Stewart Ames wyszeptał jej do ucha, nazywając ją zdrobniałym imieniem.

- W jak najlepszym, tato.

Przytuliła się mocniej do jego potężnej klatki piersiowej. Przez ramię widziała, jak reporterzy tłoczą się wokół Jamesa Corbetta. Aparaty fotograficzne strzelały tu i tam, również rejestrując jej powitanie z rodzicami.

Gdy ojciec wypuścił ją z objęć, dla reporterów był to najwyraźniej sygnał do ataku. Było ich tylko trzech, ale zadawali pytania z taką prędkością i robili wokół siebie tyle szumu, jakby było ich co najmniej dwa razy więcej.

- Jak się pani czuje, panno Ames?

- Świetnie - odparła.

- Dobrze być znowu w domu?

- Oczywiście.

- W jaki sposób się pani zgubiła?

- Jak minęła noc na pustyni?

- Proszę nam wszystko opowiedzieć...

Pytania padały niczym pociski z karabinu maszynowego. Brandy ledwie mogła skupić myśli na jednym, gdy już słyszała następne. Była tak oszołomiona, że nie zauważyła nadchodzącego Jima. Wyrósł obok niej jak spod ziemi i elegancko przedstawił się jej rodzicom. Zareagowali na jego widok bez zdziwienia, z dużą swobodą i godnością.

- Słyszeliśmy, że złapała was burza, panie Corbett - zauważył jej ojciec.

- Panno Ames - wtrącił znowu reporter. - Co pani zrobiła, gdy rozpętała się burza?

Nastąpiła chwila ciszy, która pozwoliła Brandy skupić myśli.

- Właściwie to... pan Corbett zorientował się w porę, że nadciąga burza - wyjaśniła, instynktownie używając jego nazwiska. -

Zdążyliśmy znaleźć schronienie wśród skał, nim rozpętała się na dobre.

- Czy to oznacza, że była pani razem z panem Corbettem? - dopytywał się drugi reporter.

- Ja... to znaczy... - Brandy zająknęła się, zbyt późno zdając sobie sprawę, że nikt z obecnych nie wiedział, iż spotkała Jima dużo wcześniej. Oczami rozpaczliwie szukała jego pomocy.

- Panna Ames pojawiła się w moim obozie wczorajszej nocy - Jim przyszedł jej w sukurs. Mówił spokojnie i rzeczowo. - W ciemnościach zgubiła drogę, zobaczyła moje ognisko i podeszła.

- A więc spędziliście razem noc na pustyni, nieprawdaż?

Jim Corbett uśmiechnął się chłodno.

- Można to tak określić. Tak.

- Gdzie się pani tak podrapała, panno Ames?

Brandy popatrzyła na zadrapania na swoim ramieniu, jakby widziała je po raz pierwszy. Całkiem o nich zapomniała. Żałowała teraz, że nie przykryła się szczelniej ponchem. Dzięki Bogu, że choć ukryła pod spodem podartą bluzkę! Taki widok z pewnością wzbudziłby powszechne zainteresowanie i rozmaite spekulacje.

- Kaktusy i kolce akacji - odpowiedziała, - Wpadłam na kaktusy i...

- Czyżby pani przed kimś uciekała? - Reporter roześmiał się nieprzyjemnie.

Brandy oblała się rumieńcem na wspomnienie szaleńczej ucieczki, gdy dojrzała błysk noża w ręku Jima... Och, przecież nie mogła im o tym opowiedzieć!

- Sugeruje pan, że goniłem ją wokół ogniska? - Jim wyzywająco uniósł brew. - Myślę, że użyła przenośni, mówiąc że „wpadła” na kaktusy i akacje.

- Właśnie! - przyznała skwapliwie Brandy.

- Proszę nam opowiedzieć, jak spędziła pani noc na pustyni sam na sam z Jamesem Corbettem - nalegał z drwiną w głosie reporter, puszczając do Brandy porozumiewawczo oko.

Liczyła, że Jim znowu przyjdzie jej z pomocą. Tym razem jednak milczał uparcie, musiała więc sama odeprzeć atak.

- Szczerze mówiąc - zaczęła z wahaniem - ostatniej nocy, gdy wreszcie zobaczyłam ogień, byłam bardzo wdzięczna losowi i w ogóle nie zastanawiałam się, kim jest człowiek, który siedzi przy ognisku.

- A później? - dopytywał się reporter.

- Później... - Brandy umilkła.

- A później - wtrącił Jim płynnie - zjadła królika, którego upiekłem na ruszcie. Potem jeszcze zdezynfekowałem jej zadrapania i poszła spać przy ognisku. Niezbyt pasjonujący scenariusz, prawda?

Wszyscy roześmiali się z lekkim zakłopotaniem. Brandy była wdzięczna, że pominął ośmieszające ją fragmenty. Nie zdradził ani słowem, że wzięła go za złodzieja bydła, że uciekała przed nim na oślep i podrapała sobie nie tylko ramiona... Och, nie zniosłaby plotek, które niechybnie by się rozniosły, gdyby o tym opowiedział!

- Pan Corbett ma wyrobioną reputację, jeśli chodzi o kobiety - zauważył z przekąsem jeden z reporterów. - Czy nie obawiała się pani spędzenia z nim nocy sam na sam, panno Ames?

- W ogóle nie myślałam o jego reputacji - odparowała Brandy całkiem szczerze, ponieważ istotnie nic o nim wówczas nie wiedziała.

Nawet teraz niewiele miała o nim do powiedzenia. Mogła się tylko domyślać, że mężczyzna tak niebywale przystojny, tak dynamiczny i na dodatek sławny, musiał mieć w życiu wiele pięknych kobiet.

W sercu poczuła dziwne ukłucie. Czyżby ukłucie zazdrości...? Przypomniała sobie, z jaką wprawą i nonszalancją ją pocałował i jak mu odpowiedziała na ten śmiały pocałunek.

Jakże była naiwna! Nic dziwnego, że czuł potrzebę usprawiedliwienia tego pocałunku. Musiał jej wyjaśnić, że pocałunek ten o niczym nie świadczył! Och, on przecież był gwiazdą, a ona... Kimże była ona?

- Nie uważa pani, że to podniecające spotkanie na pustyni Jamesa Corbetta? - zagaił znów reporter.

Jakież to ponizające! - pomyślała w duchu Brandy, przyglądając się Jimowi spod rzęs. Jego ciemne oczy spoglądały drwiąco, podobnie jak poprzedniej nocy. Po chwili cynicznie wykrzywił usta, więc odwróciła głowę.

- Tak, owszem - powiedziała głucho.

- Panno Ames... - Reporterowi nie udało się tym razem dokończyć pytania.

- Panowie, panowie! - Mężczyzna, który odnalazł ich na pustyni, wmieszał się w tłum. Miał dobrotliwy wyraz twarzy, ale ton głosu rozkazujący. - Myślę, że dość już tych indagacji. Panna Ames zapewne jest głodna i spragniona, a poza tym, po tym, co przeszła, chciałaby wreszcie odpocząć. Pan Corbett również musi odpocząć, ponieważ jutro rozpoczyna zdjęcia. Dowiedzieliście się już wszystkiego, więc proszę się rozejść! - zakończył stanowczo.

Dał się słyszeć jęk zawodu, ale żaden z reporterów nie zaprotestował. Gdy zaczęli się rozchodzić, Brandy zdała sobie sprawę, że winna jest Jimowi kilka słów pożegnania.

- Do widzenia, panie Corbett - odezwała się dość chłodno. -
Dziękuję za pomoc.

Na moment zacisnął usta, jakby lekko zirytowany. Być może poczuł się nie doceniony, pomyślała z przekąsem. Dostała przecież ogromnego zaszczytu, spędzając tyle godzin w jego drogocennym towarzystwie.

- Miło było panią poznać, panno Ames - powiedział wyzywającym tonem, wyciągając do niej rękę.

Przez chwilę walczyła z pokusą niepodania mu swojej; w końcu również wyciągnęła dłoń, ale nie odwzajemniła krzepkiego uścisku jego palców.

- Jestem pewna, że dobrze się pan bawił - uśmiechnęła się lodowato.

Gdy próbowała uwolnić rękę, zacisnął palce tak mocno, że odczuła ból. Przypatrując się jej chłodnemu, uprzejmemu wyrazowi twarzy zmrużył na moment oczy.

- Wyjaśnisz mi tę uwagę - szepnął złowieszczo miękkim tonem wprost do jej ucha. Potem puścił gwałtownie rękę, skłonił się z gracją jej rodzicom i energicznie pomaszerował w kierunku czekającego helikoptera.

Przez chwilę Brandy obserwowała, jak oddalał się długimi, stanowczymi krokami. Potem odwróciła się do rodziców. Matka otoczyła ją ramieniem i zaczęły iść w stronę domu.

- Zostanę tu jeszcze chwilę - powiedział Stewart Ames. - Muszę raz jeszcze podziękować wszystkim, którzy nam pomogli.

Dopiero w domu, gdy Brandy znalazła się sama z matką, napięcie spłynęło z niej, jakby zrzuciła ciężki płaszcz. Nogi bolały ją bardzo z powodu długiego marszu po kamienistej pustyni i nocy spędzonej na gołej ziemi. Poza tym była spocona i brudna.

- Zaraz zrobię ci coś do zjedzenia - powiedziała matka z uśmiechem. - Och, i od razu przygotuję coś dla nas. Nie jedliśmy z ojcem nawet śniadania. Nalewałam właśnie sok pomarańczowy, gdy ojciec odkrył, że twoje łóżko jest puste...

Potwierdziło to przypuszczenia Brandy, że nie odkryli jej nieobecności poprzedniej nocy. Gdyby tak się stało, być może nie musiałyby nocować na pustyni...

- Tak właśnie myślałam - przyznała, wzdychając ze zmęczenia. Wiedziała, że rodzice będą chcieli usłyszeć więcej szczegółów na

temat jej przygód na pustyni, ale w tym momencie nie była w stanie zaspokoić ich, skądinąd zrozumiałej, ciekawości. - Och, mamó, teraz marzę tylko o długiej, gorącej kąpieli - powiedziała, uprzedzając prośbę matki. - Przygotuj nam coś do zjedzenia, a ja tymczasem wezmę kąpiel.

Godzinę później Brandy pojawiła się w kuchni zwabiona nęcącym zapachem zupy pomidorowej. Świeżo umyte, mokre jeszcze włosy wiły się wokół jej głowy i opadały kręconymi kosmykami na czystą białą bluzkę w niebieskie paski. Odświeżona kąpielą, uśmiechnęła się radośnie do rodziców.

Teraz, gdy ciężkie chwile minęły, wszystkim trojgu wrócił apetyt, a kiedy zaspokoili głód, ciekawość wzięła górę, i Brandy musiała opowiedzieć, co naprawdę się wydarzyło.

- Złodziej bydlą! - zaśmiał się cicho Stewart Ames, gdy przyznała się do nieudanej próby rozpoznania Jamesa Corbetta. - Myślę, że jego ego musiało na tym ucierpieć.

- I odpłacił mi się z nawiązką - odrzekła Brandy. - Do samego końca pozwolił mi wierzyć w tę bzdurę. To niewybaczalne! Powinien przyznać się, kim jest. Och, gdy sobie pomyślę, jak musiał się ze mnie śmiać! To upokarzające... - Nie kończąc zdania, zaatakowała ostatnią grzanekę w zupie.

- Musisz przyznać, Brandy, że w pewnym sensie to zabawne - wtrąciła się matka. - A poza tym, przyznanie się, kim jest, mogło być dla niego w tych okolicznościach niezręczne czy nawet żenujące.

- Żenujące! - burknęła. - Też coś! Jego nic nie żenuje... - Urwała, zrozumiałwszy nagle, że wybuch ten nie był fair. Rodzice nic tu nie zawinili i nie powinna wyżywać się na nich z powodu swej zranionej dumy. - Może zmienimy temat? - zaproponowała. - Nie chcę więcej rozmawiać o Jamesie Corbetcie.

Ale już następnego poranka w pracy dowiedziała się, że sprawa nabrała rozgłosu. Ledwie ukazała się w drzwiach sklepu, jej przyjaciółka, machając w podnieceniu poranną gazetą, zawołała:

- Brandy, czy to prawda? Naprawdę James Corbett znalazł cię na pustyni? Ten sławny James Corbett?!

Brandy odwróciła się, żeby powiesić na wieszaku żakiet. Musiała opanować ogarniającą ją złość.

- Prawdę mówiąc, to ja go znalazłam - powiedziała, z wysiłkiem przybierając lekki ton. - Nastawiłaś kawę?

Pierwsza przychodząca do pracy nastawiała kawę, by mogły wypić ją wspólnie przed otwarciem sklepu.

- Tak. - Karen Justin obojętnie wzduszyła ramionami i wróciła do przerwanej wątku. - Musisz mi wszystko opowiedzieć, wszystko, co się wydarzyło, zgoda?

Brandy niechętnie zmarszczyła brwi, nalewając kawę z dzbanka.

- Wszystko masz w gazecie - powiedziała obojętnie.

- Możesz sobie sama przeczytać.

W brązowych oczach Karen pojawiły się wesołe iskierki.

- Nie wszystko jest w gazetach. Założę się, że nie wszystko...

Daj spokój, Brandy - zachęciła - mnie możesz powiedzieć prawdę.

Nikomui nie powiem, obiecuję!

Brandy westchnęła bezradnie i zaczęła opowiadać w telegraficznym skrócie wydarzenia minionego weekendu.

- Pojechałam na przejażdżkę, koń się spłoszył, zaczęłam więc wracać na piechotę do domu i zablądziłam. Potem natknęłam się na jego obóz i spędziłam tam noc. Rano, gdy wracaliśmy do domu, złapała nas burza piaskowa. Uratował nas helikopter. Ot i wszystko - oświadczyła, rozkładając ręce.

Karen potrząsnęła energicznie swą rudą czupryną.

- Ale, powiedz, co sobie pomyślałaś, gdy dowiedziałaś się, że to James Corbett we własnej osobie?

- Cóż, byłam zaskoczona. - Brandy uśmiechnęła się gorzko, przypominając sobie tę żenującą chwilę. Upiła znów łyk kawy. - Gdzie się podziewa pani Philips? - spytała o właścicielkę sklepu.

- Poszła do banku. Ale nie próbuj zmieniać tematu, Brandy - ofuknęła ją Karen. - A teraz opowiedz mi dokładnie. Czy rozmawialiście o filmie, który teraz kręci w Old Tucson?

- Nie. - Brandy niepewnie obracała w palcach rąbek swego kremowego fartuszka, z wyhaftowanymi na przodzie pomarańczowymi, niebieskimi i żółtymi kwiatkami.

- W takim razie, o czym rozmawialiście? - naciskała bezlitośnie Karen.

- O niczym szczególnym.

Karen przechyliła lekko głowę na bok, a w jej brązowych oczach pojawił się zamyślony wyraz.

- Widzę, że jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć - wykazała niebywałą spostrzegawczość. - Byłaś z nim sama na pustyni, siedzieliście sobie przy ognisku pod rozgwieżdżonym niebem... Podrywał cię, prawda?

- Nie wygłupiaj się! - zaprzeczyła żywo Brandy. Ale Karen nie omieszkała zauważyć krwistego rumieńca na policzkach przyjaciółki.

- On cię pocałował! - wykrzyknęła radośnie, jakby dokonała wiekopomnego odkrycia. - Och, Brandy! Całowałaś się z Jamesem Corbettem!

Brandy o tym drobnym fakcie nikomu nie powiedziała. Zresztą ten epizod chciała jak najszybciej wymazać z pamięci.

- Niczego nie rozumiesz, Karen - powiedziała zakłopotana: - To było całkiem niewinne... A poza tym wówczas jeszcze nie wiedziałam, kim on jest... - Raptownie zamknęła usta.

Karen wpatrywała się w nią całkiem zbita z tropu.

- Czego nie wiedziałaś? - spytała, jakby nie dosłyszała odpowiedzi. - Nie wiedziałaś, kim on... jest? - Z niedowierzaniem uniosła swe jasnorude brwi. - Czy właśnie to miałaś na myśli?

Niecierpliwym ruchem Brandy odstawiła filiżankę na mały stolik.

- Tak, to właśnie miałam na myśli - przyznała z westchnieniem. - Nie rozpoznałam go.

- Nie rozpoznałaś Jamesa Corbetta! - Karen, mimo że domyśliła się prawdy już kilka sekund temu, nadal nie mogła w nią uwierzyć. Bezwładnie osunęła się na wysoki stołek stojący obok stolika, a gazeta otwarta na stronie, na której wydrukowano zdjęcie Brandy i Jamesa Corbetta opadła jej na kolana. - Chyba nie mówisz tego poważnie?

- Spójrz tylko na jego zdjęcie. - Brandy wskazała na niewyraźną prasową fotografię. - Któż by rozpoznał go z taką brodą? A poza tym nie spodziewałam się spotkać na pustyni filmowego amanta!

- Właściwie, co on tam porabiał? - zainteresowała się nagle jej przyjaciółka.

- Nie mam pojęcia. - Brandy z irytacją wzruszyła ramionami. - Słyszałam, jak mówił reporterom, że szukał tam ciszy i spokoju.

Karen podparła się pod boki.

- Brandy, powiedz, jak całuje James Corbett?

Brandy poczuła ostry ból w sercu, jakby ktoś zadał jej cios nożem. Znowu powróciło wspomnienie, jak bardzo z niej zadrwił! A przecież, mimo goryczy, wrażenia związane z tym pocałunkiem zapisały się trwale w jej pamięci. I były to bardzo przyjemne wrażenia... Nie mogła się jednak do tego przyznać. Nawet sama przed sobą.

- Ponieważ nie wiedziałam, że to sam James Corbett mnie całuje, nie robiłam notatek - powiedziała gniewnie, - Gdybym to

wiedziała, być może zapamiętałabym częstotliwość uderzeń serca albo temperaturę ciała - dodała z wyraźną złością.

- Nie musisz się od razu wściekać - zgromiła ją Karen, przestraszona sarkazmem przyjaciółki, zwykle tak łagodnej i dobrodusznej.

- Och, przepraszam. - Brandy westchnęła. - Po prostu chciałabym już zapomnieć o tym incydencie. Świadomość, jak musiał śmiać się w duchu z mej ignorancji wprawia mnie w niedobry nastrój.

- Zerknęła na zegarek. - Już prawie dziewięta. Czy pani Philips zostawiła na biurku klucze do frontowych drzwi?

- Chyba tak. - Karen skinęła głową, udając się za Brandy do biura właścicielki. - Czy znów się z nim zobaczysz? - dociekała.

Brandy nagle przystanąła i z nachmurzoną miną spojrzała przez ramię.

- Czy się z nim zobaczę? Co masz na myśli?

- Czy zaprosił cię na randkę? - wytłumaczyła Karen.

- Ależ skądże! - Brandy roześmiała się, ale śmiech ten zabrzmiał fałszywie. - Za dużo oglądasz filmów, Karen.

- A ty za mało - odcięła się jej przyjaciółka. - W życiu zdarzają się rzeczy, o których nie śniło się reżyserom. Wiem coś o tym - dodała rudowłosa Karen, kokieteryjnie potrząsając głową.

- A więc, nie zaprosił mnie na randkę i zapewne tego nie uczyni - oświadczyła stanowczo Brandy. - A nawet gdyby to zrobił, odmówiłabym!

- Niemożliwe! - zawołała Karen z niedowierzaniem.

- Już dość zabawy mu dostarczyłam. Poza tym jestem dla niego zwykłą prowincjuską. On z pewnością woli wyszukane, światowe kobiety, podobne do swoich filmowych partnerek.

- Może zechce zmienić upodobania - zasugerowała Karen z figlarnym uśmiechem.

- W takim razie będzie musiał poszukać sobie kogoś innego. Nie mam ochoty znów go widzieć. - Przynajmniej tak sobie powtarzała w duchu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po powrocie z pracy Brandy zastała w domu bukiet czerwonych róż. Lśniły purpurą w promieniach zachodzącego słońca, gdy pochylała się nad wazonem, żeby poczuć ich woń.

W pierwszym odruchu chciała je wyrzucić, nawet przed przeczytaniem dołączonego do nich bileciku. Taka dziecinna reakcja... Brandy była dziś bardzo zmęczona - zmęczona i znużona lawiną pytań, którą ją wszędzie zasypywano. Wszyscy pragnęli poznać prawdziwą historię nocy spędzonej na pustyni z Jamesem Corbettem.

Pod koniec przestała nawet protestować, gdy wmawiano jej, jaka to musiała być dla niej wspaniała przygoda. Pozwoliła im myśleć, co chcieli. I tak nie zdołałyby ich przekonać, że było całkiem inaczej...

Po chwili przyszło opamiętanie. Wyrzucenie tak pięknych kwiatów tylko dlatego, że nie potrafiła sobie poradzić z zaistniałą sytuacją, byłoby bardzo głupie.

Bilecik zawierał tylko kilka lakonicznych słów: konwencjonalne pozdrowienia i podpis: Jim. Nie chciała przyznać nawet przed sobą, że właśnie ten podpis wpłynął na zmianę jej decyzji. Podświadomie czuła, że przyjmuje kwiaty od Jima - złodzieja bydła, nie zaś od sławnego aktora - Jamesa Corbetta.

Przygryzając wargę, Brandy cofnęła się o krok, żeby podziwiać własną aranżację kwiatów. Sama wybrała porcelanowy, stary wazon o przezroczystym brzegu, z delikatnym wzorkiem w różowe pączki. Stanowił doskonale tło dla ról lśniących, ognistą purpurą.

Ostrożnie zaniósła wazon do salonu. Akurat ustawiała go na małej, orzechowej szafce, gdy usłyszała trzask frontowych drzwi, a potem lekkie kroki matki.

- Cześć, Brandy. - Po tym zdawkowym powitaniu nastąpiły słowa pełne zachwytu. - Och, co za piękne róże! Skąd się wzięły?

- Dostałam je od pana Corbetta - powiedziała Brandy z udawaną obojętnością.

- To bardzo miło z jego strony. - Lenora Ames podeszła bliżej, żeby podziwiać rozkwitające pąki.

- Myślę, że raczej próbuje podtrzymać wizerunek dżentelmena. - Brandy wzruszyła ramionami.

- Co za cyniczna uwaga, kochanie! - Lenora przybrała poważny wyraz twarzy i dłuższą chwilę przyglądała się córce.

- Wcale nie jestem cyniczna - broniła się Brandy. - Wysłanie kwiatów to konwencjonalny, grzecznościowy gest. Zapewne pan Corbett zdał się tu na sekretarkę albo swojego agenta. Oczywiście, kwiaty są bardzo piękne, doceniam to. Ale to jeszcze nie powód, żeby się emocjonować tym faktem.

- Nie miałam tego na myśli - rzekła chłodno Lenora z dziwnym uśmiechem.

Brandy, unikając baczego spojrzenia matki, skierowała się w stronę kuchni.

- Idę przygotować obiad. Tato już wrócił?

- Wstawia właśnie samochód do garażu. - Nastąpiła chwila ciszy. - Brandy, powiedz, jak minął dzień?

- W porządku. Byłam w pracy, to wszystko.

- Obydwoje z ojcem byliśmy wprost zasypywani pytaniami na temat wczorajszych wydarzeń. Pewnie ciebie też to nie ominęło. Wiem, że odczuwasz gorycz z powodu tego doświadczenia, ale pomyślałam...

- Rzeczywiście, czuję się głupio - przerwała. - Nikt nie lubi być przedmiotem drwin. Musiał go okropnie bawić fakt, że go nie rozpoznałam! Och, wszyscy robią tyle szumu wokół całej sprawy. Uważają, że przeżyłam podniecającą, romantyczną przygodę. Też coś! Dla mnie to było po prostu poniżające... - Uniosła do góry podbródek.
- A teraz, mamó, pozwól, że przygotuję obiad.

Lenora nie zaprotestowała. Nie usiłowała również powracać w rozmowie do osoby Jamesa Corbetta. Stewart Ames po wejściu do

salonu zachwycił się różami, ale nawet nie spytał, kto je przysłał. Brandy odniosła wrażenie, że matka go uprzedziła.

Następnego poranka Brandy nie wspomniała Karen o kwiatach. Prezent w postaci tuzina czerwonych róż z pewnością pobudziłby bogatą wyobraźnię przyjaciółki. Bez wątpienia dopatrywałyby się w tym czegoś niezwykłego, a Brandy była naprawdę śmiertelnie zmęczona jej romantycznymi wizjami dotyczącymi Jamesa Corbetta.

Szum, jaki spowodowała jej przygoda na pustyni, stopniowo cichł, i w czwartek w lokalnej prasie ograniczono się tylko do przypadkowych wzmianek. Napięcie nerwów, jakie od kilku dni odczuwała Brandy, opadło. Rozluźniła się, przestała reagować histerycznie, gdy jakiś klient czy znajomy pojawił się w sklepie.

W czwartek wieczorem, gdy rodzice przygotowywali się do piątkowych wykładów, Brandy miała wrażenie, że życie powraca do normalności. Wreszcie zrozumiała, że całe zamieszanie dobiegło kresu. Z westchnieniem ulgi opadła na szezlong i wsunęła ręce pod głowę.

Słońce zawieszzone nad wzgórzami powoli chyliło się ku zachodowi. W południowym zakątku patia Brandy miała doskonały punkt obserwacyjny na magicznie cichy, a jednocześnie pełen intensywnych barw zmierzch dnia. Obserwowała, jak na purpurowo-różowym niebie zaczynały się pojawiać pierwsze żółtawe cienie.

- Mając tu taki widok, po co pojechałaś na pustynię? - dobiegł z za jej pleców czyjś przyciszony głos.

Przestraszona, wyprostowała się jak struna i szybko odwróciła głowę. Nie słyszała odgłosu otwierania szklanych drzwi wiodących na patio...

A jednak za jej plecami stał James Corbett we własnej osobie.

Tym razem trudno go było nie rozpoznać. Z kowbojem z pustyni łączył go tylko dziwny błysk ciemnych oczu i wrażenie, że w jego potężnym ciele drzemie jakaś niebezpieczna siła... Starannie wygolona broda odsłaniała teraz kształtne policzki i szczękę, lekkie zagłębienie w podbródku oraz cyniczne pionowe bruzdy wokół ust. Nie nosił dziś wytartych dżinsów ani zamszowej kamizelki pokrytej pustynnym kurzem, a podniszczony stetson nie zasłaniał jego ciemnych, falujących włosów

James Corbett prezentował się nienagannie. Jedwabna koszula w pastelowym odcieniu uwydatniała szerokie ramiona i potężnie zbudowaną klatkę piersiową, a podwinięte rękawy - umięśnione, opalone ręce. Doskonale skrojone spodnie podkreślały jego zgrabną sylwetkę. Emanowała zeń ta charakterystyczna, magnetyczna siła przyciągania, i Brandy zachodziła teraz w głowę, jakże mogła wcześniej go nie rozpoznać.

Gdy wreszcie minął szok, wróciła jej mowa.

- Jak się tu dostałeś? - spytała słabym głosem. Nie usłyszawszy powitania, wykrzywił usta w sposób, który trudno było nazwać uśmiechem.

- Wpuściła mnie twoja matka - wyjaśnił. - Powiedziała mi, że kontemplujesz zachód słońca.

- To prawda. - Była wyraźnie zdenerwowana i jak mogła unikała jego wzroku. - Dziękuję ci za kwiaty - wyszeptała, ale zabrzmiało to sztucznie i jakby nieszczerze.

Od razu pożałowała, że w ogóle wspomniała o różach.

- Nie ma za co. - Lekko skłonił ciemną głowę. - Czy mogę usiąść?

- Oczywiście. - Niepewnym gestem wskazała krzesła stojące na patio.

Jak na złość usadowił się na krześle stojącym na wprost szezlonga. Pospiesznie więc wstała i podeszła do drewnianej pergoli przesłaniającej znaczną część patia. Mocno zacisnęła dłoń na surowym drewnie.

- To nie jest towarzyska wizyta, panie Corbett. Dlaczego pan tu przyszedł? - Odwróciła do niego głowę, nie zdając sobie sprawy, że znalazła się w ramce zrobionej z promieni zachodzącego słońca. Jej jasne, wijące się włosy błyszcząły teraz jak złoty hełm,

- Skąd ta pewność, że to nie towarzyska wizyta? - Przechylił nieco głowę, rzucając czujne spojrzenie spod przysłoniętych rzęs.

Odwróciła wzrok i zacisnęła usta.

- Jeśli przyjechałeś sprawdzić, czy wszystko w porządku, to odpowiedź brzmi: tak.

- Cieszę się, że to słyszę, Brandy - odpowiedział z lekkim niedowierzaniem.

Usłyszawszy swe imię, Brandy poczuła znów napięcie nerwów. Odniosła wrażenie, że siedzi tam Jim, a nie James Corbett... Och, to

było czyste szaleństwo myśleć o nim jak o dwóch różnych mężczyznach! Zaciskając palce na drewnianej podpórcie pergoli, przyglądała się w milczeniu kontrastującym kolorom swej opalonej na złoto skóry i ciemnobrązowego drewna.

- Skoro więc upewniłam pana w tej kwestii, nie ma potrzeby z powodów grzecznościowych przeciągać tej wizyty - powiedziała chłodno.

Cichy, drwiący chichot wydobył się z jego gardła.

- Nigdy nie uważałem się za dżentelmena, ponieważ, jak sędzę, nim nie jestem. Tak więc twoja zawołowana propozycja, żebym sobie poszedł, trafiła w próżnię.

Brandy odwróciła się na pięcie; jej niebieskozielone oczy płonęły gniewem.

- W to nie wątpię, panie Corbett - prychnęła. - Dał pan już dowody swego braku taktu, ale nieopatrznie o tym zapomniałam.

Na jego twardych, męskich ustach pojawił się uśmiech.

- Powoli dochodzimy więc do powodów mej wizyty...

- To znaczy? - rzuciła ostro.

- Wiem, że w niedzielę poczułaś się zraniona, gdy dowiedziałaś się, kim jestem.

- Nikt nie lubi być wystrychnięty na dudka - wtrąciła. - Domyślam się, że doskonale się bawiłeś, wiedząc, że cię nie rozpoznałam. Ta historyjka dostarczyła ci pewnie wielu okazji do śmiechu w ciągu ostatnich dni. Tobie i twoim przyjaciółom... Jeśli więc przywiodły tu pana wyrzuty sumienia, panie Corbett...

- Nie przyszedłem tutaj, żeby cię przeproszać - rzekł stanowczo.
- Wcale nie żałuję swojego postępowania. - I posłuchaj, jeśli raz jeszcze zwrócisz się do mnie „panie Corbett” odpłacę ci pięknym za nadobne!

Poczuła nagle strach, ponieważ wiedziała, że Jim potrafi być bezlitosny i z pewnością spełniłby swoje groźby. Ostatek woli opanowała się, żeby niczego nie dać po sobie poznać.

- A jak mam się do ciebie zwracać? - spytała, wyzywająco podrzucając głowę.

W zadumie zmrużył ciemne oczy.

- Poprzednio nie miałaś trudności z mówieniem do mnie Jim.

- To było jedyne twoje imię, jakie wówczas znałam - przypomniała mu głuchym głosem.

- Rozumiem, że teraz masz kilka innych imion do wyboru - zadrwił.

- Och, tego nie powiedziałam - plątała się bezradnie.

- Czy nie zastanawiałaś się przypadkiem, dlaczego nie powiedziałem ci prawdy o sobie?

- Przypuszczam, że potrafię odgadnąć.

- Doprawdy? - Wykrzywił usta, przyglądając jej się z lekkim politowaniem. - A więc mam nadzieję, że nie zanudzę cię zbyt swoimi wywodami. Wiem, jak nieznośnie nudno brzmią prawdy, które się zna.

Brandy musiała odwrócić wzrok od jego chłodnych, przeszywających oczu, ponieważ podbródek zaczynał jej niebezpiecznie drżeć.

- Bardzo proszę, wyjaśnij - powiedziała cichym głosem. - Jestem pewna, że będzie to zajmujący wykład.

Powietrze wokół niej zdawało się iskrzyć elektrycznością. Wiedziała, że sama wzbudza w sobie złość, ale nie potrafiła się pohamować. Oszukał ją przecież, przysporzył jej tyle bólu... O, nie! Nie miała zamiaru mu tak łatwo wybaczyć.

- Tamtej nocy, gdy zjawiłaś się w moim obozie -podjął spokojnym, beznamiętnym tonem - w pierwszej chwili pomyślałem, że jesteś jedną z tych zwariowanych wielbicielek, które mnie śledzą... Widzisz, istnieją kobiety, szczególnie dotyczy to młodych dziewczyn, dla których życiowym celem jest przespanie się z kimś sławnym. Zrobią wszystko, by cel ten osiągnąć. Skąd mogłem wiedzieć, że nie jesteś jedną z nich?

Brandy zrozumiała teraz, dlaczego na jej widok tak się wówczas rozgniewał. W pewnym sensie nawet zaczynała mu współczuć, nie chciała jednak, by to zauważył.

- Domyślam się, że doznałeś rozczarowania - skomentowała cierpko. - Mogłeś przeżyć upojną noc. Jak rozumiem, takie atrakcje bywają przywilejem ludzi sławnych.

- Zawód aktora - położył nacisk na te słowa - pod wieloma względami bywa satysfakcjonujący, ale za, wszystko trzeba płacić. Moje życie osobiste stale wystawione jest na widok publiczny, a to

mnie deprymuje. Jak mogę, staram się chronić swą prywatność i jestem nawet o nią zazdrosny. Nie czerpię z mego zawodu korzyści o których wspomniałaś. Jeśli pragnę kobiecego towarzystwa, sam wybieram osobę, miejsce i czas.

Poczuła się skarcona i na chwilę straciła rezon.

- Staram się zrozumieć - przyznała pojednawczo.

- Mam więc nadzieję, że zrozumiesz również i to, że rzeczywiście ubawiło mnie, gdy wzięłaś mnie za złodzieja bydła. Było to doprawdy komiczne i jednocześnie tak nieprawdopodobne, że nawet nie podejrzewałem sztuczki. - Złośliwe iskierki tańczyły mu w oczach, gdy napotkał spłoszony wzrok Brandy. - Zrozumiałem, że nie jesteś osobą, za którą cię wziąłem... Byłaś jednak tak bardzo pewna, że masz do czynienia ze złodziejem, że nie wiedziałem, w jaki sposób powiedzieć ci prawdę. A później... później nie chciałem ci powiedzieć.

- Pozbawiłbyś się dalszej rozrywki - zadrwiła.

- Nie o to chodzi. - Bez wysiłku, ze zwierzęcą gracją wstał z krzesła i podszedł do drewnianej kolumny, przy której stała Brandy. - Zataiłem prawdę nie dlatego, że twoja ignorancja mnie bawiła - powiedział w zamyśleniu. - Zachowałem się tak, ponieważ po raz pierwszy od bardzo dawna potraktowano mnie jak zwykłego śmiertelnika. To była bardzo przyjemna odmiana.

Oddychając nierówno, Brandy odwróciła ku niemu twarz. To wyjaśnienie jej nie zadowalało. Nadal czuła w sercu urazę, pamiętała poniżenie, którego doznała.

- Przecież i tak dowiedziałabym się, kim jesteś - powiedziała.

- W głębi duszy to wiedziałem - przyznał, nie odrywając oczu od jej twarzy. - Początkowo planowałem jednak, że podprowadzę cię blisko domu i odjadę. Wszystko zmieniła burza...

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Brandy. Przypomniała sobie, że gdy zobaczył helikopter, wcale nie zamierzał uciekać.

- Od razu zorientowałem się, że helikopter należy do rancza Saguarro. Domyśliłem się, że to mnie szukają. A gdy zobaczyłem w helikopterze mojego agenta, Dona Petersa, nie miałem już żadnych wątpliwości. Nie mogłem narażać go na dalszy stres. Ma wystarczająco dużo problemów bez moich kaprysów.

Stał przed nią - wysoki, potężny i niesamowicie atrakcyjny. Stał bardzo blisko, zbyt blisko... Pod naporem tej bliskości i uprzejmego spojrzenia Brandy czuła, że się poddaje. Z ogromnym wysiłkiem odwróciła wzrok od jego smagłej twarzy.

- Tak czy owak, nie było w porządku, że nie powiedziałaś mi, kim jesteś - zaprotestowała raz jeszcze, ale już bardzo nieśmiało. ,

- Gdy nadleciał helikopter, zdałem sobie sprawę, że nie mam wyboru. - Przesunął opartą o kolumnę dłoń w pobliżu jej miękkich puszystych loków. - Nie było czasu, żeby ci wszystko wyjaśnić. Miałem nadzieję, że porozmawiamy później w twoim domu, sam na sam, ale tak się nie stało... W helikopterze mnie rozpoznałaś, prawda?

Opalone, silnie umięśnione ramię znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od jej miękkiego policzka. Drobne kosmyki złocistych włosów splotły się z ciemnymi włosami na jego ramieniu.

Opuściła oczy, ponieważ nie była w stanie znieść tego ostrego, przeszywającego spojrzenia.

- Tak, to prawda - przyznała. - Usłyszałam, jak ten mężczyzna... twój agent powiedział o tobie Corbett... Wtedy zrozumiałam, kim jesteś.

Rysy twarzy mu stwardniały, jakby nagle zamknął się w sobie.

- Gdybyś mogła widzieć wyraz swoich oczu, gdy mnie rozpoznałaś! - Uniósł jeden kącik ust w ponurym uśmiechu. - Zrozumiałabyś od razu, dlaczego wszelkie wyjaśnienia zostawiłem na później.

- Co masz na myśli? - Podniosła głowę, dziwnie poruszona tą uwagą.

- Nagle w twoich oczach przestałem być człowiekiem - oświadczył. - Widziałaś tylko mój celuloidowy wizerunek. Na chwilę przestało mnie obchodzić, co sobie o mnie pomyślałaś. Było mi wszystko jedno.

Bardzo chciała mu uwierzyć; dopiero teraz zdała sobie sprawę jak bardzo. Wpatrując się badawczo w czarne oczy, próbowała dotrzeć do ich głębi.

- Ale teraz już nie jest ci wszystko jedno? - spytała ostrożnie, jakby prosząc o potwierdzenie.

- Nadal nie darzysz mnie zaufaniem - skonstatował z rezygnacją.

- Nie dałeś mi ku temu powodów - broniła się.

- O, tego bym nie powiedział! - zaprzeczył z lekkim ożywieniem. - Myślę, że moje zachowanie na pustyni było wzorowe.

- Tak, to prawda - przyznała.

- W takim razie zjedz ze mną kolację w sobotę, Brandy. -

Zmarszczki wokół jego ust wyraźnie się pogłębiły.

- Słucham? - Odniosła wrażenie, że się przesłyszała.

- Powiedziałem, żebyś w sobotę zjadła ze mną kolację -
powtórzył.

- Ale... dlaczego?

- A jak myślisz? - odparował z irytacją. - Oczywiście dlatego, że
mam na to ochotę.

Nerwowo oblizła wargi.

- Nie musisz zapraszać mnie na kolację. Teraz już wszystko
rozumiem i nie ma potrzeby zdobywania się na takie gesty.

- Powiedziałem ci już, Brandy, że nie jestem dżentelmenem i nie
robię żadnych gestów - odparł tonem pobłażliwej ironii.

Przelotny błysk, który dojrzała w jego oczach, utwierdził ją w
przekonaniu, że mówił prawdę. Szybko odwróciła wzrok, czując
gwałtowne przyspieszenie pulsu. Magnetyczny urok tego mężczyzny
uderzał jej do głowy. Jeszcze chwila i da się namówić na przyjęcie
zaproszenia. Do licha, miała ochotę je przyjąć!

I nagle, rzucając mu z ukosa spojrzenie, zdała sobie sprawę z
własnej naiwności. To był przecież James Corbett! Ich światy nie
miały do siebie dostępu...

Chwycił jej ramię w karcącym uścisku. Linie wokół jego ust
stwardniały, przybrały groźny wyraz, gdy mocnym szarpnięciem

postawił ją na palce i przyciągnął do siebie. Ostrem jak sztylet wzrokiem przenikał jej twarz.

- Nie patrz na mnie w ten sposób! - burknął.

Brandy, cała drżąc, słabo potrząsnęła głową.

- Nic nie mogę na to poradzić... - wyjąkała.

- Do diabła, Brandy! - Zwolnił nieco uścisk, ale jej nie puścił.

Westchnął zniecierpliwiony. - Co mam zrobić, żebyś zrozumiała?

- Nie potrafię zapomnieć, kim jesteś - powiedziała. - Pochlebiasz mi, zapraszając mnie na kolację, ale...

- Pochlebiam ci! - Powtórzył te słowa z okrutnym sarkazmem. -

A kimże ja jestem? Bogiem, czy może królem obdarzającym łaskami?!

- Co więc chcesz usłyszeć?! - wykrzyknęła w rozpacz. - Jeśli chcesz usłyszeć tak lub nie, to moja odpowiedź brzmi: nie! A teraz, proszę, puść mnie!

Opuścił ręce tak nagle, jakby jej ciało budziło w nim odrazę. Brandy skorzystała z okazji i odsunęła się o krok, a potem odwróciła tyłem, by ukryć łzy palące jej oczy.

To było szaleństwo. Czyste szaleństwo... Nagle zapragnęła cofnąć swoją odmowę, choć podświadomie była pewna, że podjęła słuszną decyzję. Jakiś wewnętrzny głos nalegał, aby przyjęła tę propozycję. Przecież było to zwykłe zaproszenie na kolację... Mogła pójść choćby po to, aby zaznać czegoś nowego - zdobyć doświadczenie, o którym opowiadałaby później swoim dzieciom... Ale instynkt

samozachowawczy ostrzegał ją, że nie powinna traktować czasu spędzonego z Jamesem Corbettem jedynie jak dobrej zabawy.

- Następnym razem załatwię to inaczej. - Głos miał chłodny i opanowany.

Brandy zerknęła przez ramię, a w jej niebieskozielonych oczach malowała się rozpacz i bezbrzeżne cierpienie.

- Nie sądzę, panie Corbett - powiedziała stanowczo. - Nie sądzę, by to się panu udało.

Przez nieskończenie długą chwilę patrzył jej prosto w oczy, a potem odwrócił się na pięcie i zniknął za przesuwalnymi, szklanymi drzwiami. Gdy wyszedł, Brandy nie odczuła ulgi. James Corbett nie rzucał słów na wiatr. Wiedziała, że jeszcze go zobaczy.

Przez cały weekend Brandy podskakiwała nerwowo na każdy dźwięk podjeżdżającego pod dom samochodu, a każdy dzwonek telefonu podrywał ją na nogi. Ale Jim nie próbował się z nią skontaktować. Gdy minęły następne dni i nic się nie wydarzyło, doszła do wniosku, że zdecydował się nie tracić na nią czasu. Och, nawet nie podejrzewała, że jest tak bardzo kobieca! Mimo że nie chciała się z nim umówić, pragnęła, by nadal ją o to prosił...

Choć minął tydzień i Jim nie dał znaku życia, słyszała o nim nieustannie. Karen, która nic nie wiedziała o ich ostatnim spotkaniu, z entuzjazmem przekazywała przyjaciółce wszystkie plotki, które wyczytała w gazetach.

To właśnie od Karen Brandy dowiedziała się o namiętym romansie, który wybuchł między Jimem Corbettem a LaRaine Evans, aktorką grającą jedną z drugoplanowych ról w filmie kręconym właśnie w Old Tucson. Karen wycięła nawet z gazety fotografię, na której James Corbett trzymał w objęciach ognistą brunetkę. Brandy na ten widok poczuła w sercu ukłucie zazdrości.

To bolesne uczucie pogłębiło się jeszcze, gdy usłyszała - oczywiście od Karen - że Jim i jego przyjaciółka spędzili poprzedni weekend w przygranicznym miasteczku Nogales, położonym godzinę drogi od Tucson. Na dodatek Karen oznajmiła, że prócz zwiedzania meksykańskiego pogranicza, poszli oglądać walkę byków i nie mogła powstrzymać się od kąśliwej uwagi, że brunetka wygląda na osobę żądną krwi.

Po upływie następnego tygodnia Brandy pogodziła się z faktem, że już nie zobaczy Jima Corbetta. Właściwie na co liczę? - pytała siebie w duchu, przynosząc z zaplecza sklepu drabinę. Nawet jeśli była atrakcyjną dziewczyną, nie mogła przecież stawać w szranki z olśniewającą, zmysłową LaRaine Evans.

- Co zamierzasz robić z tą drabiną, Brandy? - Karen zmarszczyła brwi i po chwili rzuciła się do przodu, żeby uratować ceramiczną statuetkę cherubina, która zagrażała Brandy drogę.

- Doszłam do wniosku, że czas najwyższy zmienić dekorację wystawy - odrzekła, manewrując nieporęczną drabiną. Wreszcie utorowała sobie drogę do ceramiki wplecionej w artystycznie powiązane kolorowe sznurki.

- Ta makrama wisi tu już od kwietnia, ludzie zaś lubią odmianę.
- Pomóc ci? - zaproponowała życzliwie przyjaciółka.
- Dam sobie radę. - Brandy ostrożnie ustawiała drabinę tak, aby nie potraćić kruchych naczyń.

- W takim razie zajmę się klientami. A gdy pani Philips wróci z lunchu, pomogę ci, żebyś nie musiała stale biegać w górę i w dół. To znaczy, jeśli ona w ogóle wróci... - dodała Karen, wymownie przewracając oczami. - Co ona by bez nas zrobiła? Jeśli nie miałyby takich oddanych ekspedientek jak my, nie wyżyłyaby z tego sklepu. Nie ma jej tu przez większość dnia.

- Właśnie dlatego nas zatrudnia, aby tu nie siedzieć - mruknęła Brandy, wspinając się na drabinę i odchylając doniczki, które bujały się nad jej głową.

- O, właśnie nadchodzi pani Goodwin - wymamrotała Karen pod nosem. - Zamówiła specjalny odcień włóczki do wykończenia kilimu, który utkała. Och, ale ta włóczka nie nadeszła w ostatniej dostawie, a pani Philips solennie obiecywała, że dzisiaj będzie!

- Powodzenia - wyszeptała Brandy, gdy jej przyjaciółka podchodziła do klientki.

Siedząc na ostatnim szczeblu drabiny, w dość niebezpiecznej pozycji, prawie niewidoczna wśród bujających się makram, Brandy zaczęła zdejmować niektóre ozdoby ceramiczne i doniczki, robiąc miejsce dla nowych, o innych kolorach i wzorach.

Ktoś jeszcze wszedł do sklepu, nie odrywała się jednak od swego zajęcia, mając nadzieję, że Karen za chwilę zajmie się

następnym klientem. Nagle usłyszała męski głos i zamarła ze zdejmowaną właśnie makramą w ręku.

- Czy mógłbym zobaczyć narzędzia do obróbki skóry? - Głęboki, zduszony głos nie mógł należeć do nikogo innego oprócz Jima Corbetta.

- O... oczywiście, panie Corbett. - Karen aż zająknęła się z wrażenia, ponieważ od razu rozpoznała, kim jest ten nowy klient.

Brandy ostrożnie - tak ostrożnie, by nie zwrócić na siebie uwagi - wyjrzała zza zasłony kolorowych paciorków. Zobaczyła, jak Jim Corbett zdejmuje okulary słoneczne i odwraca się, żeby podążyć za Karen. Wstrzymała oddech. W głowie zawirowały jej tysiące pytań... Czyżby dowiedział się, gdzie pracuje i przyszedł się z nią zobaczyć? Mało prawdopodobne. Ale gdzieś w głębi serca rozpaczliwie pragnęła, aby tak właśnie było.

Karen z przejęcia poruszała się tak niezdarnie, że niemal upuściła na podłogę tacę z narzędziami, o które prosił. Gdy jej pomagał postawić tacę na ladzie, była bliska omdlenia. Brandy nie dziwiła się wcale. Jim wyglądał dziś jeszcze przystojniej niż przedtem, jeśli to w ogóle było możliwe. Zachowywał się niezwykle uprzejmie i swobodnie, jak przystało na prawdziwego światowca.

Brandy nie odważyła się nawet poruszyć. Obawiała się, że jeśli wszedł tu przypadkowo i wcale nie chciał się z nią widzieć, jej nieoczekiwana obecność mogłaby okazać się żenująca. Zasłonięta gęstą siatką ze sznurka czekała w napięciu, aż Jim sam wspomni jej imię.

- Naprawdę lubi pan pracować w skórze, panie Corbett? - spytała przejęta Karen.

Oderwał na chwilę wzrok od narzędzi i uśmiechnął się lekko.

- To moje hobby. Lubię robić coś rękami.

- To zapewne doskonały sposób relaksu po wielogodzinnym kręceniu filmu - wtrąciła z ożywieniem. Gdy już minął pierwszy szok spowodowany rozpoznaniem sławnego człowieka, wróciła jej wrodzona gadatliwość. - Och, nawet pan nie wie, jakie to dla mnie podniecające!, że mogłam pana poznać, panie Corbett. Od dawna jestem pana gorącą wielbicielką. Widziałam wszystkie pańskie filmy, niektóre nawet po kilka razy...

- Bardzo mi miło - rzekł uprzejmie. - Mam nadzieję, że się pani spodobały.

- Och, bardzo! - zapewniała go żarliwie. - Ledwie mogę się doczekać, kiedy ten, który teraz pan kręci, ukaże się na ekranach. Praca aktora musi być niezwykle ekscytująca...

- Tylko pod pewnymi względami - przyznał jakby niechętnie. Brandy dosłyszała w jego głosie nutę łagodnego cynizmu. - Pod innymi zaś bywa o wiele nudniejsza niż na przykład pani praca.

- Nie potrafię w to uwierzyć - roześmiała się Karen, bezwiednie poprawiając niesforną, rudą czuprynę. - Ale właściwie to nigdy nie widziałam, jak się kręci film.

Jim wybrał kilka drobiazgów spośród tych, które pokazała mu Karen i podał je do zapakowania. W tym momencie Brandy doszła do wniosku, że jego obecność w sklepie nie ma nic wspólnego z nią i

teraz pozostawało mieć nadzieję, że Karen nie zrobi żadnej aluzji do jej osoby. Na szczęście wyglądało na to, że Karen była zbyt podekscytowana, by w ogóle pamiętać o swojej przyjaciółce.

- A może zechciałaby pani przyjrzeć się z bliska kręceniu filmu, panno...? - spytał, płacąc za sprawunki.

- Justin. Karen Justin - przedstawiła się pośpiesznie.

- Czy chciałabym? Och, oczywiście!

- Mógłbym załatwić pani wejściówkę na plan któregoś dnia, powiedzmy w przyszłym tygodniu, zgoda? - zaproponował uprzejmie.

- Och, doskonale - zgodziła się Karen. - Sklep jest zamknięty w czwartek po południu, więc...

- ...więc być może uda się pani namówić pannę Ames, aby zeszła ze swojej grzędę i pani towarzyszyła. - Mówiąc to Jim odwrócił się i popatrzył rozbawionym wzrokiem wprost na zasłonę ze sznurków, za którą skrywała się Brandy.

Tak niespodziewanie słysząc swe imię, Brandy przestraszona podskoczyła do tyłu, uderzając głową o jedną z wiszących doniczek, ta zaś potrafiła pozostałe. Szybko uchwyciła się drabiny, żeby nie spaść na ziemię. Na szczęście udało jej się odzyskać równowagę i powoli opuścić swój posterunek. Jim czekał na dole z wesołym uśmiechem na twarzy.

- Naprawdę myślałaś, że cię nie widać? - spytał szczerze ubawiony.

- Wcale nie próbowałam się ukrywać - zaprzeczyła zażenowana, wiedząc, że zdradzają ją wypieki na policzkach. - Zmieniałam dekorację.

Zerkając z ukosa na Karen, zauważyła w oczach przyjaciółki błysk, który nie pozostawiał wątpliwości co do jej myśli.

- Rozumiem, po prostu pracowałaś w ciszy - powiedział z porozumiewawczym uśmiechem. - Ponieważ więc byłaś tak bardzo zajęta, może powinienem powtórzyć zaproszenie?

Nie mogła przecież przyznać się do podsłuchiwania.

- Jakie zaproszenie, panie Corbett?

Na dźwięk swego nazwiska zmrużył oczy w niemej naganie, jakby chciał przypomnieć Brandy o uprzednim ostrzeżeniu.

- zaproponowałam, abys wraz z panna Justin przyszła obejrzeć plan filmowy. Twoja przyjaciółka wspomniała; że sklep będzie zamknięty w przyszły czwartek po południu. W takim razie w czwartek, jeśli to wam odpowiada. - W wyrazie jego oczu widać było wyzwanie.

Brandy przypomniła sobie słowa, które wypowiedział, gdy widzieli się po raz ostatni: „Następnym razem załatwię to inaczej”. Z czystej przekory chciała odrzucić zaproszenie, wiedząc, że użył podstępu, posługując się jej przyjaciółką - z drugiej strony jednak bardzo pragnęła je przyjąć... Ten wewnętrzny konflikt miała wypisany na twarzy.

- Oczywiście, że nam odpowiada - wtrąciła się Karen, patrząc błagalnym wzrokiem na Brandy.

- Tak - zgodziła się wreszcie Brandy z westchnieniem rezygnacji. - Czwartek będzie doskonały.

- To świetnie. - W błysku jego oczu i lekkim wykrzywieniu ust odmalował się tryumf. - Wszystko zawczasu przygotuję. Po przyjeździe zameldujcie się przy wejściu, gdzie ktoś będzie na was czekał.

- Bardzo dziękujemy, panie Corbett. - Karen posłała mu szeroki uśmiech. - Jest pan niezwykle uprzejmy.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Przelotne spojrzenie, którym obrzucił Brandy, tylko potwierdziło jej przypuszczenia. Zachowanie Jima nie wynikało z uprzejmości. Po prostu udowodnił jej, że zawsze osiąga to, co chce.

Gdy pożegnał się i wyszedł, Brandy stała przez chwilę zamyślona. Jak doskonale potrafi sobie radzić z kobietami... Prawie dwa tygodnie trzymał ją w napięciu i niepewności, a gdy już zdążyła dojść do wniosku, że nigdy go nie zobaczy i zaczynała żałować, że nie przyjęła zaproszenia na kolację - pojawił się jak spod ziemi!

Nie miała żadnych powodów, by po raz drugi odrzucić zaproszenie. Już on tego dopilnował! Nie zaprosił jej na intymną kolację we dwoje - przeciwnie - zaprosił również jej przyjaciółkę, na wypadek gdyby potrzebowała przyzwoitki. Poza tym było to całkiem niewinne zaproszenie na plan filmowy do Old Tucson.

Wystarczyło więc zmienić aranżację, by przyjęła zaproszenie! Do licha, przecież w skrytości ducha tego pragnęła, nie zważając na

logiczne przesłanki. Karen miała rację... To była jedyna szansa w życiu i powinna z niej skorzystać.

Gdyby tylko czwartkowe popołudnie nie wydawało się tak odległe, pomyślała. Zostało zbyt wiele czasu na rozmyślania.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jestem tak podniecona! Spójrz, cała się trzęsę... - Karen na potwierdzenie swych słów wyciągnęła drżącą rękę.

- Uspokój się - pocieszała ją Brandy, mimo że sama miała ręce wilgotne od potu, a w żołądku czuła nerwowe kurcze.

Karen zostawiła samochód na parkingu przeznaczonym dla turystów - i teraz zmierzały do budynku, przez który przechodziło się do filmowego miasteczka z czasów Dzikiego Zachodu.

- Mam nadzieję, że nie będę za dużo paplać - westchnęła Karen, po czym dodała z niepokojem: - Och, chyba nie zapomniał o naszym dzisiejszym przyjeździe!

- Na pewno nie zapomniał - pocieszyła ją pospiesznie Brandy.

- Oczywiście, że nie. - Karen pokiwała ze zrozumieniem głową.
- Zapomniałam, że to chodzi o ciebie... Zwłaszcza jeśli się pomyśli, ile go kosztowało, żeby ciebie tu ściągnąć! Za każdym razem, gdy sobie przypomnę, że nie zgodziłaś się pójść na randkę z Jamesem Corbettem, dochodzę do wniosku, że musiałaś być nienormalna!

W poniedziałek po wyjściu Jima ze sklepu, Brandy opowiedziała Karen o jego niedawnej wizycie u siebie w domu. Miała nadzieję, że w ten sposób wyjaśni Karen swe dzisiejsze, trochę dziwne zachowanie. Została jednak zupełnie nie zrozumiana. Po pierwsze Karen zbeształa ją, że tak ważną rzecz utrzymała przed nią w tajemnicy, po drugie zaś od razu podważyła stan zdrowia jej umysłu.

- Rozmawialiśmy już o tym - westchnęła ze zniecierpliwieniem Brandy. - A poza tym, dobrze wiesz, Karen, że niewiele mam wspólnego z hollywoodzkimi gwiazdami...

- Och, co ty o tym wiesz, Brandy! - Tej reprimendzie towarzyszył uśmiech pełen politowania. - A jeśli się z nim nie umówisz, nigdy się tego nie dowiesz. Można mieć tylko nadzieję, że nie straciłaś go już na rzecz tej... Evans.

- Nie miałam go, więc nie mogłam go stracić - podkreśliła Brandy, poczuła jednak ukłucie bólu w sercu.

Karen zupełnie zbagatelizowała tę uwagę i mówiła dalej:

- A może się pokłócili i on szuka u ciebie pocieszenia? Tak, to by wyjaśniało, dlaczego tak długo zwlekał, zanim ponownie się do ciebie odezwał,

- Możliwe - zgodziła się Brandy. Rzeczywiście, to było możliwe... Choć pomysł, że mężczyzna tak opanowany i pewny siebie potrzebuje pocieszenia wydawał się dość niezwykły.

Gdy podeszły do niepozornego budynku wejściowego, zatrzymały się na progu, ponieważ po jaskrawym słońcu dnia ich oczy musiały przywyknąć do panującego wewnątrz półmroku. Przy kasie z

biletami znajdowało się kilka osób, ustawiły się więc za nimi w kolejce.

Łysiejący mężczyzna w staroświeckiej, wykrochmalonej koszuli, z podwiązką na jednym rękawie, uśmiechnął się uprzejmie, gdy podeszły do okienka.

- Witam panie - odezwał się z zawodową galanterią.

Brandy z powodu nagłego zdenerwowania tak zaschło w gardle, że nie mogła przemówić, wyręczyła ją więc Karen.

- Pan Corbett miał zostawić dla nas przepustki - zaczęła. - Nazywam się...

- Zapewne panna Justin i panna Ames - wtrącił, nim Karen zdążyła się przedstawić. Twarz jego pełna była teraz przyjacielskiego ciepła. Przez chwilę błyszczące, jasnoniebieskie oczy spoczęły na Brandy. - Pan Corbett poinformował mnie, że panie dziś przyjadą. Proszę chwilę poczekać, zaraz zawiadomię kogoś, kto się paniami zajmie.

- To miło z pana strony. - Karen uśmiechnęła się, po czym obie z Brandy usunęły się na bok, żeby nie przeszkadzać ludziom stojącym za nimi w kolejce.

- Panno Ames - rzucił za nimi bileter.

Brandy odwróciła się zaciekawiona.

- Fotografia w gazecie nie była wobec pani sprawiedliwa - zawyrokował. - W rzeczywistości jest pani o wiele ładniejsza.

Mogło chodzić tylko o jedną fotografię, pomyślała Brandy. Tę, którą zrobiono jej i Jimowi, gdy odnaleziono ich na pustyni. Miała

nadzieję, że po upływie paru tygodni ten incydent zostanie puszczonej w niepamięć. A jednak... Na myśl o tym, że nieznajomy mężczyzna zapamiętał jej nazwisko oraz że Jim załatwił dla niej specjalną przepustkę poczuła, że oblewa ją fala gorąca.

- Dziękuję - odrzekła, nieco zakłopotana komplementem, i szybko odsunęła się od okienka.

W oczekiwaniu na pojawienie się swego przewodnika przyglądały się fotosom ze znanych filmów kręconych w Old Tucson, Po upływie kilku minut bileter skinął na nie, by podeszły.

Po drugiej stronie wejścia czekał mężczyzna ubrany w strój kowbojski z gwiazdą przypiętą do piersi i kaburą wokół bioder. Wrażenie, że był prawdziwym szeryfem z Dzikiego Zachodu, psuły przeciwsłoneczne okulary oraz krótkofalówka, którą trzymał w lewej ręce. Bileter wyszedł z kabiny i przedstawił gościom malowniczego przewodnika.

- To jest Dick Murphy - powiedział. - Zabierze was na plan filmowy. Dick - zwrócił się do mężczyzny z porozumiewawczym błyskiem w oku - oto panna Ames i panna Justin. Są gośćmi pana Corbetta, więc dobrze się nimi zajmij.

- Witam panie. - Dick Murphy na powitanie uchylił rąbka kapelusza, po czym gestem wskazał, by podążyły za nim.

- Witają nas tu, jakbyśmy były ważnymi osobistościami, no nie? - szepnęła Karen podnieconym głosem.

Brandy nie odpowiedziała, tylko zgromiła ją wzrokiem, po czym podążyły za Dickiem Murphym na główną ulicę miasteczka.

Wszystko tu wyglądało jak w czasach Dzikiego Zachodu. Wysoki płot, który zasłaniał parking, pozwalał cofnąć się w czasie, a widoczne w oddali, niezmiennie takie same góry tworzyły wspaniałe tło dla tej westernowej scenerii.

- Ponieważ jesteście stąd - wyjaśnił Dick Murphy - zapewne wiecie, że to miasteczko zostało wzniesione w 1939 roku na użytek filmu „Arizona”, a potem stale rozbudowywane.

- Słyszałam o tym - odpowiedziała Karen. - Właściwie to Brandy... to znaczy panna Ames pochodzi z Tucson. Ja mieszkam tu zaledwie od dwóch lat. Pochodzę z Breckenridge w Kolorado.

- Och, to jest w Górach Skalistych. Całkiem tam inna sceneria i klimat - zauważył mężczyzna z miłym uśmiechem.

- Mnie nie musi pan tego mówić! - zawołała Karen, a potem rozejrzała się wokół. Po szerokich chodnikach spacerowali turyści, podziwiając doskonale rekonstrukcje domów z ubiegłego stulecia. - Nigdy tutaj nie byłam podczas kręcenia filmu - zastanawiała się głośno. - Ciekawa jestem, jak udaje się trzymać tych ludzi z dala od filmowego planu?

- Na czas kręcenia poszczególnych scen zamyka się odpowiednią część miasta - wyjaśnił Dick.

Brandy zaciekawionym wzrokiem popatrzyła przed siebie.

- Gdzie dzisiaj kręcą? - zapytała.

- W meksykańskiej wiosce. - Gestem ręki wskazał kierunek. - Tam właśnie zmierzamy.

Skrećili w wąską drogę, a po kilkudziesięciu metrach obeszli blokującą ją barierkę. Stał tam strażnik ubrany podobnie jak Dick Murphy. Gdy przechodzili obok, mężczyzna skinął im głową na znak przyzwolenia.

Po opuszczeniu głównej ulicy Brandy spostrzegła, że fasady domów zmieniły wygląd; nie było tu już malowanych, drewnianych domów, tylko budynki z wypalanej cegły. Zobaczyła przed nimi jakiś tłum. Gdy podeszli bliżej, zorientowała się, że rozpoczęto filmowanie ujęcia.

Wokół panowała nabożna niemal cisza i skupienie. W milczeniu podeszły za Dickiem Murphym do grupy ludzi, z uwagą śledzącej każdy szczegół na planie. Nie mogły stąd dojrzeć aktorów, ponieważ widok przesłaniała grupa operatorów i techników. Kamerzyści siedzieli wysoko na specjalnych dźwigach, reszta zaś technicznego sprzętu pozostawała na dole połączona płataniną przewodów elektrycznych.

Brandy wzrokiem poszukiwała Jima Corbetta. Mógł grać w tej scenie, ale również mógł obserwować wszystko z boku...

Zobaczyła go w znacznej odległości; opierając się plecami o ceglana ścianę budynku, z ręką obejmującą podbródek, śledził w skupieniu rozgrywającą się scenę. Kciuk prawej dłoni wsunięty miał za pasek od dzinsów, a jedną nogę lekko ugiętą i opartą o ścianę.

Nawet teraz, gdy rondo brązowego kapelusza osłaniało mu czoło i oczy, Brandy wyczuwała jego badawcze, przeszywające spojrzenie. Westernowy kostium, w który był ubrany, przywodzący na myśl

czasy bezprawia, podkreślał bezlitosne, niebezpieczne cechy jego charakteru.

Do złudzenia przypominał teraz mężczyznę, którego poznała na pustyni; było w nim coś onieśmielająco męskiego i niebywale dynamicznego, a jednocześnie wrodzona jakby delikatność i kultura, chociaż, jak pamiętała, uparcie powtarzał, że nie jest dżentelmenem.

Serce załopotало jej w piersiach, gdy spostrzegła, jak nagle prostuje się i odwraca w jej stronę. Powitalny uśmiech wypłynął jej na wargi w oczekiwaniu chwili, gdy ich oczy się spotkają, ale... Ale jego spojrzenie nie szukało jej wzroku.

Zaczął iść jakby w jej stronę, jednak prawdziwy obiekt jego zainteresowania znajdował się gdzieś pomiędzy. Widzowie właśnie rozpierzchli się na boki, co oznaczało koniec ujęcia. Jim zatrzymał się obok mężczyzny w okularach i białej koszuli, której świeżość pozostawiała wiele do życzenia.

W tym samym niemal momencie do obu mężczyzn dołączyła kobieta o lśniących, kruczoczarnych włosach - obiekt zainteresowania Jima...

Brandy na widok jej głęboko wyciętej bluzki odsłaniającej złocisty dekolt i ramiona natychmiast pojęła, dlaczego właśnie tej kobiety szukał wzrokiem. Szeroko rozkloszowana, jaskrawoczerwona spódnica kołysała się wokół jej zgrabnych kostek, krój zaś podkreślał doskonale wyrzeźbione biodra.

Z bolesnym ukłuciem w sercu Brandy rozpoznała w tej oszałamiająco pięknej kobiecie LaRaine Evans - aktorkę, którą od

dwóch tygodni łączono z nazwiskiem Jima Corbetta. LaRaine przyjacielskim ruchem objęła teraz Jima w pól, uśmiechnęła się uroczo, po czym zwróciła do drugiego mężczyzny. Brandy domyśliła się, że był nim reżyser kręconego właśnie filmu.

Między tym trojgiem wywiązała się ożywiona dyskusja. Ożywienie widoczne było przede wszystkim na twarzy kobiety, jak zauważyła Brandy. Ekspresyjny sposób bycia pasował do jej południowej urody. Brandy pomyślała, że kobieta przypomina czarny płomień, pełen demonicznego blasku, którego nie można było ugasić.

Jakąż wspaniałą, oryginalną parę tworzyła z Jimem, myślała z zazdrością. Obydwoje śniadzi, ciemni, oszałamiająco atrakcyjni. Nic dziwnego, że ich nazwiska ze sobą łączono...

Dick Murphy tymczasem objaśniał Karen, co dzieje się na planie. Poczynania ekipy filmowej nie interesowały Brandy. Całą czujną uwagę skupiła na osobie Jima, a patrząc nań, czuła ból z powodu pustki w sercu.

Jakże była głupia i naiwna, myśląc, że Jim może się nią naprawdę zainteresować! Zrozpaczona, już chciała odwrócić wzrok, gdy nieoczekiwanie ich spojrzenia się spotkały. Bezwiednie wstrzymała oddech niepewna teraz, czy on patrzy na nią, czy też na kogoś innego. Jim lekko skinął głową, po czym znów zwrócił się do stojącej przy nim brunetki.

Brandy szybko odwróciła głowę, by nie domyślił się, jak bardzo pragnęła przyciągnąć jego uwagę. Oddychała nierówno, serce uderzało jej jak oszalałe. Ale nawet odwracając głowę, kątem oka

nadal poszukiwała Jima. Znowu wstrzymała oddech, widząc, że Jim oderwał się wreszcie od swej uroczej, ciemnowłosej towarzyszki i zmierza w jej kierunku. Usilnie starała się skupić uwagę na opowiadaniu Dicka. Na próżno. Cały czas miała przed oczami zbliżającą się ku nim wysoką postać. Gdy do nich podszedł, udała zaskoczenie.

- Widzę, że dotarliście szczęśliwie - zagaił, przyglądając jej się drwiąco.

- Owszem. - Uśmiechnęła się nerwowo. - Dziękujemy za zaproszenie. Obydwie z Karen jesteśmy zafascynowane tym, co tu się dzieje. - Specjalnie wspomniała o Karen, by nie myślał, że poczuła się tym zaproszeniem szczególnie wyróżniona.

- Och, naturalnie - przyznała Karen z entuzjazmem. - Dick... to znaczy pan Murphy wszystko nam wytłumaczył. Domyślałam się, że produkcja filmów to rzecz skomplikowana, ale nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo!

- Mam nadzieję, że reszta dzisiejszych wrażeń będzie równie pouczająca - oświadczył Jim sucho, kątem oka zauważając zaróżowione policzki Brandy. Następnie zwrócił się do ich przewodnika: - Dziękuję, Dick, że się paniami zaopiekowałeś.

- Zawsze do usług, Jim. - Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, na pożegnanie dotykając rąbka kapelusza.

Brandy rzuciła Jimowi wyczekujące spojrzenie, uświadamiając sobie nagle, że teraz on będzie ich przewodnikiem. Chyba zdawała sobie z tego sprawę już wówczas w sklepie, gdy je tutaj zapraszał...

Dlatego później zdziwiła się nieco rolą, jaką odgrywać miał Dick Murphy.

- Jest bardzo przystojny, nie sądzisz? - powiedziała Karen, wydając z siebie westchnienie pełne rezygnacji.

Brandy z roztargnieniem spojrzała na przyjaciółkę, w pierwszej chwili nie pojmując, o kim mówi.

- Wielka szkoda, że nosi obrączkę - dodała Karen, spoglądając za odchodzącym mężczyzną z tęsknym wyrazem twarzy. Potem przeniosła wzrok na Brandy i lekko wykrzywiła usta. - Cóż, takie już mam szczęście - rzekła z nutą frustracji w głosie.

- Myślę, że nie powinnaś skreślać Dicka - wtrącił szybko Jim wyraźnie rozbawiony. - Dick Murphy jest wdowcem. Jego żona zginęła rok temu w wypadku samochodowym.

- Przykro mi... - wymamrotała Karen z niekłamana szczerością, niemniej jednak na dnie jej brązowych oczu pojawił się płomyk nadziei.

- Nie pracujesz dzisiaj? - Brandy usiłowała nawiązać lekką konwersację, ale pod wpływem drwiącego spojrzenia Jima szybko straciła równowagę ducha.

- Dzisiaj jestem wolny. - Zmarszczki wokół jego ust pogłębiły się wyraźnie. - Pomyślałem więc, że zaoferuję wam swoje usługi jako cicerone.

- To miło z twojej strony - powiedziała Brandy coraz bardziej zakłopotana.

- Naprawdę?

- Kochanie! - To był głęboki, zmysłowy kobiecy głos. LaRaine Evans władczo otoczyła Jima ramieniem, całkowicie ignorując obecność Brandy i Karen. - Może wyskoczymy gdzieś na drinka?

LaRaine Evans z bliska wyglądała jeszcze piękniej niż na ekranie. Roziskrzona oczy w kolorze czarnego aksamitu wpatrywały się w Jima z prawdziwym uwielbieniem.

- Przykro mi, LaRaine - powiedział, uśmiechając się lekko. - Nie tym razem. Mam gości. - Spojrzał znacząco na Brandy i Karen.

- Gości? - Aktorka patrzyła na dwie kobiety, jakby nagle spadły z księżyca. Na chwilę umilkła, oczekując prezentacji.

Jim z rozbawionym błyskiem w oku wyszedł naprzeciw jej niememu żądaniu.

- LaRaine, oto Karen Justin i Brandy Ames - powiedział, po czym zwracając się do Karen i Brandy dorzucił teatralnym tonem: - Ta oto utalentowana i piękna kobieta, to jedna z moich filmowych partnerek, LaRaine Evans.

- I twoja przyjaciółka, kochanie - wtrąciła z ożywieniem brunetka, wybuchając gardłowym śmiechem.

Na widok intymnego, porozumiewawczego spojrzenia, jakie posłała Jimowi, serce Brandy skurczyło się z bólu. Och, ta zmysłowa kobieta nie ma w sobie za grosz delikatności, pomyślała z lekkim niesmakiem.

- Skoro tak uważasz... - Jim wzruszył nieznacznie ramionami, jakby nie chciał polemizować na temat charakteru swego związku z LaRaine.

Aktorka zacisnęła usta na znak niezadowolenia czy też pewnego rozczarowania. Opanowała się jednak natychmiast i tylko zamrugała sztucznymi rzęsami, przyglądając się wyniośle Brandy.

- Brandy... Co za niezwykle imię!

- Tak, dość oryginalne - przyznała Brandy, nie wdając się w głębsze wyjaśnienia na temat decyzji swych rodziców. Właściwie sama wiedziała tylko tyle, że imię podobało się jej matce.

- Och, oczywiście! - Na twarzy aktorki pojawił się tryumfalny uśmiech. - Już wiem, dlaczego brzmi tak znajomo. Przecież to ty jesteś dziewczyną, która spędziła z Jimem noc na pustyni!

Sposób, w jaki wymówiła słowo „dziewczyna” sprawił, że Brandy poczuła się tak, jakby w zeszłym tygodniu włożyła swą pierwszą parę nylonów. Na chwilę twarz jej przybrała gniewny wyraz, a oczy zaświeciły gorączkowo. Opanowała się jednak i spojrzała na Jima.

- Owszem, to prawda - przyznała zwodniczo ciepłym, przyciszonym głosem. Wiedziała, że lakoniczna odpowiedź pobudzi żywą wyobraźnię drugiej kobiety.

LaRaine arogancko uniosła brwi, a potem, potrząsając bujną czupryną, spojrzała na Jima.

- Nie powiedziałeś mi, że to takie ładne stworzonko - poskarżyła się, wydymając dolną wargę.

- Nie powiedziałem - przyznał gładko. - Nie chciałem rozgłaszać, że Brandy okazała się ze wszech miar uroczą towarzyszką.

Słyszając wyraźnie pieszczotliwą nutę w jego głosie, LaRaine skamieniała na twarzy i dopiero po dłuższej chwili zdołała się uśmiechnąć, z trudnością ukrywając niezadowolenie.

- Uważaj, mój drogi, żebyś nie zawrócił jej w głowie! - ostrzegła z krzywym uśmiechem.

Na widok zarumienionych policzków Brandy ciemne oczy Jima zaśniły figlarnie.

- Żywię taką nadzieję - rzekł spokojnie.

- Jesteś niemożliwy! - W oczach LaRaine pojawiły się groźne błyski.

- Lepiej idź i napij się czegoś zimnego, nim Bill znów zagna cię do roboty - poradził życzliwie, ignorując wściekłość malującą się na jej twarzy.

Zacisnęła mocno czerwone usta i wycedziła:

- Tak właśnie miałam zamiar zrobić. – Odwracając się wyniośle, raz jeszcze potrząsnęła swą kruczoczną głową.

- Ojej, myślałam, że eksploduje - szepnęła Karen do Brandy. - Prawdziwy z niej wulkan!

Choć uwaga ta nie była przeznaczona dla uszu Jima, nie omieszkał zareagować.

- W następnej scenie bohaterka grana przez LaRaine dostaje szau - powiedział z zawadiackim uśmiechem. - Nie uważacie, że zagra to znakomicie?

W kącikach ust Brandy pojawił się słaby uśmiech, Karen zaś pozwoliła sobie na komentarz.

- Ona nie będzie musiała grać - rzekła. - Wystarczy, że pozostanie sobą.

Jim nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego faktem, że rozwścieczył LaRaine, toteż Brandy od samego początku podejrzewała, że celowo wzbudzał w niej zazdrość. Jeśli kłócili się, tak jak wcześniej sugerowała Karen, być może powodem kłótni była zbyt zaborczość brunetki. Jim Corbett nie należał do mężczyzn, którzy komukolwiek pozwoliliby nad sobą panować.

- Ponieważ jeszcze jest przerwa w kręceniu, proponuję, byście obejrzały atelier - zasugerował Jim. - Pokażę wam kilka ciekawych rekwizytów.

Staął pomiędzy nimi i lekko, lecz stanowczo obejmując Brandy w tali, pokierował je z powrotem na główną ulicę. Gdy przekroczyli barierkę, dzielącą plan filmowy od reszty miasteczka, licznie zgromadzeni tam turyści zaczęli rozpoznawać Jamesa Corbetta; rozległy się szepty niczym lekki wietrzyk szumiący w trawie na prerii, a potem trzaski aparatów fotograficznych. Wszyscy pragnęli mieć zdjęcie prawdziwej filmowej gwiazdy, żeby móc pochwalić się nim po powrocie do domu.

Jim zdawał się nie zwracać uwagi na poruszenie, jakie widok jego osoby wywoływał w tłumie. Szedł pewnie przed siebie, ani nie przyspieszając, ani nie zwalniając kroku. Brandy pomyślała, że musiał być przyzwyczajony do częstych dowodów adoracji. Mimo że minę miał zgoła obojętną, nie zachęcającą do bliższego kontaktu, podbiegła

ku niemu jakaś nastolatka, niecierpliwie wymachując kawałkiem papieru i długopisem.

- Czy mogę prosić o autograf, panie Corbett? - wykrztusiła, patrząc na aktora z bezbrzeżnym uwielbieniem.

Jim wziął od dziewczyny papier i długopis, uśmiechnął się do niej z wystudiowaną, jak się zdawało, uprzejmością, po czym śmiałym, pewnym ruchem napisał na kartce swoje nazwisko dużymi, czytelnymi literami.

- Dziękuję - powiedziała dziewczyna, z czcią niemal wpatrując się w autograf, który zdobyła.

- Nie ma za co. - Szarmancko dotknął rąbka kapelusza. - Pani wybaczy...

Znów objął Brandy w pól i przyciągnął ją do siebie. Zrobił to ostentacyjnie, tak aby wszyscy widzieli, że idą razem. Brandy zarumieniła się z dumy, Karen zaś puściła do niej porozumiewawczo oko.

Pracownik otworzył im drzwi do atelier, które mieściło się w budynku urządzonym w stylu Dzikiego Zachodu. Ogromne, przestronne wnętrze nie posiadało ścian działowych, poszczególne zaś sektory różniły się rodzajem wystroju. Ten, do którego najpierw podeszli, była staroświeckim saloonem z drewnianym barem ciągnącym się na całej długości jednej ściany. Nad barem wisiało lustro, pod nim zaś półki pełne butelek i kieliszków. Jeszcze wyżej, pod sufitem, zawieszony był duży obraz przedstawiający kobietę o bujnych kształtach w obcisłej różowej sukni, leżącą na dywanie.

Po drugiej stronie sali znajdowały się westernowe, wahadłowe drzwi i ogromne przeszklone okna, które stwarzały złudzenie, że na zewnątrz znajduje się główna ulica miasteczka. W rzeczywistości zamiast szyb okna dekorowały realistyczne malowidła przedstawiające ulicę. Na trzeciej ścianie pomieszczenia znajdowało się kilka par drzwi prowadzących do tylnych pokoi oraz schody wiodące na piętro.

Pośrodku saloonu stało kilka stołów z krzesłami. Wszystkie wyglądały na bardzo stare i podniszczone. Na jednym stole rozrzucono karty i żetony do pokera.

- W tych dekoracjach - wyjaśniał Jim - kręcone są sceny we wnętrzach. Ten saloon na przykład wykorzystywany był w niezliczonej ilości sławnych westernów. Aż dziw, że publiczność nie rozpoznaje tych samych wnętrz. Ale za każdym razem zmienia się rekwizyty, albo przenosi drzwi lub schody na inną ścianę.

- Wszystko tu jest takie małe, niepozorne... - zdziwiła się Karen.

- Kamera ma tę właściwość, że może wszystko powiększyć - wyjaśnił Jim. - Za każdym razem pokazuje tylko część pomieszczenia, a to stwarza iluzję, że jest ono dużo większe... - Urwał i uśmiechnął się pod nosem. - Tylko dla aktorek nie jest to szczególnie korzystne. Czy chcą tego, czy nie, kamera zawsze dodaje im parę kilo. Dlatego stale muszą się odchudzać. - Roześmiał się pobłaźliwie.

- Nie ma się co dziwić - przyznała Karen z powagą. - Żadna kobieta nie chce wyglądać na grubszą niż jest. Chyba, że przypomina Twiggy.

- Jeśli chodzi o rekwizyty - kontynuował Jim - przypuszczam, że pamiętacie te meble i butelki, które ustawicznie roztrzaskują się na czyichś głowach. Kiedyś odlewano je z cukru, ale ponieważ zdarzało się, że aktorzy lub członkowie ekipy filmowej je zjadali, teraz robi je się z innych materiałów. Zamiast mocnych trunków, oczywiście, używa się herbaty. No cóż, tylko piwo jest prawdziwe. Nie wymyślono jeszcze płynu, który wyglądałby jak piwo i tak jak piwo się pienił. Ale żeby piana się utrzymywała, piwo musi być ciepłe. Wiecie teraz, dlaczego aktorzy rzadko je popijają na planie. - Jim uśmiechnął się złośliwie. - Chyba że są to angielscy aktorzy...

Poprowadził je teraz na drugi koniec ogromnego pomieszczenia.

- Oto jest biuro szeryfa - mówił, mijając kolejne dekoracje. - A to jadalnia, ale zmiana mebli lub zasłon z łatwością pozwala urządzić tu inny pokój.

Następne zamknięte trzema ścianami pomieszczenie było tym bardziej niezwykle, że tuż za nim ciągnęła się pustynia. Podłogę pokrywał prawdziwy piasek, na nim zaś rosły kępy krzewów i kaktusów. Ściany pomalowano tak, aby sprawiały wrażenie ciągnącego się dalej pustynnego krajobrazu.

- Nie wystarczy wam prawdziwa pustynia? - zdziwiła się Brandy, marszcząc brwi.

- W zupełności. Czasami jednak scenariusz wymaga zdjęć kręconych w nocy. Oczywiście, w nocy nie kręcimy. Kamerzysta zakłada specjalny filtr na obiektyw i uzyskuje pożądany efekt. A jeśli potrzeba wschodu lub zachodu słońca, stosuje się specjalne

oświetlenie. Dzięki temu wschód słońca może trwać wystarczająco długo, żeby aktorzy prawidłowo wypowiedzieli swoje kwestie.

- Byłam przekonana, że kręcicie tu podczas deszczu - roześmiała się Karen.

- Upał i piaskowe burze to prawdziwe utrapienie w Arizonie. Cały czas cierpimy z powodu upału.

Natomiast deszcz... Cóż, deszcz na ogół jest dziełem naszych specjalistów od efektów specjalnych.

- A jak się robi deszcz? - zacięła się Brandy, dla której każde słowo wypowiedziane przez Jima wydawało się fascynujące. - Czyżby za pomocą węża ogrodowego i wiatraka?

- Byłoby to całkiem możliwe - uniósł do góry lewy kącik ust - gdyby nie jeden problem. Ciekąca woda nie wygląda dobrze na taśmie filmowej. Gdy widzicie na filmie deszcz, zazwyczaj jest to padające mleko, które doskonale imituje wodę.

- Żartujesz?! - Karen przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Wcale nie żartuję - zapewnił z wesołym uśmiechem. -

Wszystko wskazuje na to, że Gene Kelly śpiewał i tańczył w... mleku, a nie w deszczu.

- Nie pozbawiaj mnie złudzeń! - jęknęła Karen w udawanej rozpacz.

Jim roześmiał się, a jego głęboki, gardłowy śmiech przyprawił Brandy o emocjonujący dreszcz. Podeszła doń bliżej, przyciągnięta urzekającą osobowością tego niebywale przystojnego mężczyzny.

- A teraz zapraszam was do garderoby, gdzie zobaczycie kilku niezwykłych artystów przy pracy - zaproponował.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W garderobie na prośbę Jima starsza kobieta pokazała Karen i Brandy niektóre kostiumy używane w filmie. Projekty, które zostały ukończone już kilka tygodni temu, przedstawiały dokładne repliki strojów z epoki. Kostiumy były uszyte indywidualnie dla każdej aktorki i dla każdego aktora grającego w filmie.

Praca garderobianych polegała głównie na troszczeniu się o kostiumy i pilnowaniu, by były gotowe w każdej chwili. Krawcowe dokonywały ostatnich poprawek oraz reperowały rozdarcia lub pęknięcia powstałe w trakcie kręcenia zdjęć.

Następnie Jim oprowadził Karen i Brandy po stajniach, gdzie trzymano występujące w filmie zwierzęta; przeważnie były to konie, ale wśród nich stało również kilka mułów i osioł. Bydło natomiast dostarczał w razie potrzeby farmer z sąsiedniego rancza. Konie były oczywiście specjalnie tresowane na potrzeby filmu, nie bały się ludzi, nie płoszył ich szum kamer.

Jeden z koni zwrócił uwagę Brandy. Na tle pozostałych zdrowych wierzchowców o błyszczącej sierści wyglądał żałośnie. Przez matową, poszarzałą skórę przeświecały żebra i wydawało się, że ledwie stoi na wychudzonych, trzęsących się nogach.

- Jim, co się dzieje z tym koniem? - Brandy całkiem nieświadomie zwróciła się doń po imieniu. Gdy poczuła na sobie pełen ciepła wzrok, zrozumiała, że sprawiła mu tym wyjątkową przyjemność.

- Nie jest chory - odrzekł - tylko niedożywiony.

- Niedożywiony? Och, jak możecie... Gdyby go zobaczył ktoś z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, bylibyście w nie lada kłopotach!

- Właśnie stamtąd go przywieźliśmy. - Widząc jej zaintrygowane spojrzenie, wykrzywił usta w nieznacznym uśmiechu. - Długo szukaliśmy takiego właśnie cherlawego rumaka.

- Ale po co? - Nadal niczego nie pojmowała.

- Grany przeze mnie bohater odbywa morderczą podróż przez pustynię. Pod koniec on sam i jego koń muszą sprawiać wrażenie śmiertelnie wyczerpanych. Właśnie do tych ujęć zapuściłem brodę, jak zapewne zauważyłaś, gdy spotkaliśmy się na pustyni. - Potarł dłonią gładko teraz wygoloną twarz, jak gdyby na samo wspomnienie zarostu swędziała go skóra. - Na szczęście tamte sceny nakręciliśmy najpierw. A jeśli chodzi o konia, w tej chwili wygląda już nader krzepko.

- I co teraz z nim będzie? - Brandy wsparta o płot zagrody patrzyła na konia oczami pełnymi współczucia.

- Od początku był ulubieńcem nas wszystkich. Harry, nasz koniuszy, dba o niego jak o własne dziecko i ma nadzieję, że gdy

całkiem dojdzie do siebie, będzie jeszcze grał w wielu filmach. A jeśli to się nie powiedzie, Harry na pewno znajdzie mu dobrego opiekuna.

- Mam nadzieję - powiedziała zamyślona Brandy.

- Chodźmy gdzieś w cień i napijmy się czegoś zimnego - zaproponował.

W przyjemnym cieniu przed budynkiem stajni schroniło się już kilka osób z ekipy filmowej. Jim przedstawił Karen i Brandy kowbojom opiekującym się zwierzętami i kaskaderom, po czym usiadły z drinkami w rękach na stercie siana. Nikt tu nie okazywał Jimowi specjalnych względów, których on zresztą nie oczekiwał. Oparty niedbale o ścianę budynku stał kilka kroków od miejsca, gdzie siedziały Brandy i Karen.

Mężczyźni nie przerywali konwersacji; wymieniano wspomnienia z innych planów filmowych, opowiadano anegdoty, czasem śmieszne, czasem budzące dreszcz grozy. Karen i Brandy słuchały jak urzeczone, od czasu do czasu wtrącając swój komentarz lub pytanie ku wyraźnej ucieście zgromadzonych. Wreszcie jeden z mężczyzn uderzył się rękami po udach i powstał.

- No cóż, dziś już chyba nie będę tu potrzebny - oświadczył. - Właściwie wszyscy powinni się już zbierać, bo kończy się światło.

Brandy spojrzała mimochodem na zegarek i wydała okrzyk zaskoczenia. Dochodziła szósta! Wydawało się niemożliwe, ale minęły już cztery godziny, od czasu gdy obie z Karen wkroczyły do Old Tucson. A jednak coraz dłuższe cienie wskazywały na późną porę

dnia. Szybko poderwała się z miejsca, otrzepując źdźbła siana, które oblepiły jej brązowe spodnie.

- Na nas także czas! - powiedziała stanowczo.

- Chyba masz rację... - westchnęła Karen nie bez cienia żalu w głosie.

Brandy uśmiechnęła się do Jima, jak gdyby w niemej podziękę za tak mile spędzone popołudnie, on zaś patrzył na nią dłuższą chwilę w zadumie.

- Dziękujemy, że nam to wszystko pokazałeś - odezwała się, by przerwać niezręczną ciszę i nie wiedząc, co począć, po prostu wyciągnęła do niego rękę.

Ten gest wywołał lekki grymas na jego twarzy - grymas ni to złości, ni uśmiechu; w końcu uściśnął wyciągniętą dłoń z drwiącą powagą.

- Cieszę się, że się dobrze bawiliście - powiedział. - Przykro mi jednak, że musicie tak szybko wracać.

- Jest już późno. - Przyjemny dreszcz przebiegł po jej ciele, ponieważ trzymał jej dłoń dłużej, niż wymagały tego względy grzeczności.

- Tak, to prawda - przyznała Karen bez entuzjazmu.

- Ale zanim odwiozę Brandy do domu i wrócę do siebie, będzie już bardzo późno. Doskonale się bawiłam, panie Corbett. Naprawdę brak mi słów, by wyrazić swą wdzięczność.

- Nie masz za co mi dziękować - zbagatelizował. - I wołałbym, byś zwracała się do mnie Jim.

- Dobrze... Jim. - Na twarzy Karen pojawił się uśmiech pełen satysfakcji.

Jim tymczasem wodził wzrokiem po złocistych, kręconych włosach Brandy.

- Nie przyjechałaś swoim samochodem? - spytał.

- Nie, ojciec go wziął, ponieważ mama pojechała ich samochodem na zebranie, on natomiast musiał być w Phoenix dziś po południu.

- Nie ma powodu, byś nadrabiała taki kawał drogi, Karen - oświadczył stanowczo. - Odwiozę Brandy.

- Och, ale... - Brandy zaczęła protestować, ale słowa uwięzły jej w gardle.

- Zgoda! - oświadczyła Karen radośnie.

- Ale...

- Ale co, Brandy? - Jim otwarcie zadrwił z jej nieśmiałych protestów. - Przecież jest mi po drodze, więc mogę cię zabrać. Dlaczego próbujesz protestować?

- Po prostu nie chciałam, żebyś myślał... - płątała się bezradnie.

- Ach, wiem, o co ci chodzi - przerwał ostro i nie kontynuował tematu. - Skoro jesteś gotowa, chodźmy do samochodu. Znajduje się na prywatnym parkingu nie opodal.

Brandy wahała się jeszcze chwilę, po czym zrezygnowana zgodziła się. Miała wrażenie, jakby jakaś siła wyższa podjęła za nią tę decyzję i uwolniła ją od odpowiedzialności za jej skutki. W gruncie rzeczy pragnęła przecież towarzystwa i adoracji Jima. Dlaczego więc

jednocześnie chciała go unikać? Czowała się jak dziecko, które wyrzuciło zabawkę, by po chwili domagać jej się z powrotem.

- Jeśli wszystko zostało już ustalone, jadę do domu - wtrąciła niefrasobliwie Karen. - Do jutra, Brandy! I jeszcze raz serdeczne dzięki za zaproszenie, Jim.

Radośnie machając ręką na pożegnanie, pomaszerowała w stronę wyjścia. Brandy zerknęła na Jima, który wpatrywał się w nią w milczeniu. Do licha, znów zrobiła z siebie idiotkę! Cóż, nie potrafiła zapomnieć, kim był, ale skoro zaproponował, że odwiezie ją do domu, powinna od razu się zgodzić, bez dziecinnych ceregieli. I dlaczego cały czas drżała ze zdenerwowania?

- Idziemy? - powiedziała wreszcie, z determinacją unosząc podbródek.

Jim skinął głową i wzięwszy ją lekko pod ramię, skierował we właściwą stronę.

Nieobecność Karen od razu dało się zauważyć; Brandy poczuła się niezręcznie i niepewnie. W towarzystwie żywiołowej przyjaciółki rozmowa toczyła się gładko i naturalnie, teraz zaś Brandy gorączkowo szukała niebanalnego, a jednocześnie neutralnego tematu.

Gdy opuszczali plan filmowy, kilka osób z ekipy pomachało im ręką na pożegnanie tak naturalnie, jakby

Brandy od dawna przyjaźniła się z Jimem. Jak się zdawało, nikt nie miał mu za złe, że złotowłosa Brandy zastąpiła u jego boku kruczoczarną partnerkę z filmowego planu.

Brandy zastanawiała się nawet, czy celowo nie posłużył się jej osobą, by trzymać z dala zaborczą LaRaine Evans. Wszystkie plotki wskazywały, że ich znajomość miała intymny charakter. A jednak, jak zaobserwowała, Jim zachowywał się wobec aktorki chłodno, by nie rzec - arogancko.

W głowie miała chaos myśli. Przyzwyczajona była do szczerych, otwartych kontaktów z mężczyznami, ale z Jimem czuła się całkiem inaczej, jakoś nieswojo, jakby rozdarta na pół. Zwykle panowała nad sytuacją, teraz zaś zachowywała się ulegle, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji.

- Dlaczego jesteś nachmurzona? - Otwierając drzwi samochodu od strony pasażera, odwrócił głowę do tyłu i zerknął na Brandy.

Szybko przywołała się do porządku.

- Nachmurzona? - Wzruszyła ramionami na znak kompletnego niezrozumienia, po czym szybko wsunęła się na miękki, wyściełany skórą fotel. - Po prostu zamyśliłam się. Nic ważnego.

Bez słowa komentarza zamknął za nią drzwi i przeszedł na drugą stronę. Gdy przekręcił kluczyk w stacyjce, potężny silnik zaryczał jak obudzony lew. Jim wycofał samochód z parkingu i skręcił w kierunku bramy wyjazdowej.

- Czy nadal się niepokoisz, Brandy? - spytał cicho, czekając na przerwę w ruchu ulicznym.

- Niepokoję się? - Zamrugnęła powiekami. - Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Odnoszę wrażenie, że niepokoi cię fakt, że James Corbett odwozi cię do domu. Masz kompleks niższości, czy tak? - Po lewej stronie jego ust pojawiła się głęboka bruzda.

- Wcale nie czuję się od ciebie gorsza, Jim - powiedziała spokojnie, choć serce trzepotało jej jak skrzydła motyla.

- Cóż, odniosłem takie wrażenie, gdy odrzuciłaś propozycję kolacji - odpowiedział, gdy już wyjechali na główną drogę.

- Nie czuję się od ciebie gorsza - powtórzyła. - Chodzi tylko o to, że reprezentujemy dwa odmienne typy... Twój świat jest zupełnie różny od mojego.

- Dziś zobaczyłaś mały fragment mojego świata i poznałaś kilka osób, z którymi pracuję. Czy rzeczywiście wydają ci się tak niezwykli, że nie mogłabyś się z nimi zaprzyjaźnić? Czy są inni od ciebie i ludzi, z którymi się zadajesz?

Brandy poczuła się jak w pułapce.

- Nie - przyznała niechętnie.

- A więc dlaczego raz jeszcze nie przemyślisz swojej decyzji?

- Jakiej decyzji? - spytała zdezorientowana.

- Dotyczącej zjedzenia ze mną kolacji - wyjaśnił.

Brandy chciała - bardzo chciała zmienić zdanie. Pragnęła powiedzieć: tak. Ale to krótkie słowo uwięzło jej w gardle. Przedtem potrafiła zdobyć się na taką stanowczość... A teraz?

Zamiast cokolwiek odpowiedzieć, patrzyła przez okno nic nie widzącym wzrokiem i w głębi duszy nienawidziła samej siebie za to, że wzniosła tak wysoki mur między sobą a Jimem...

Pozwolił jej milczeć. Nieco zwolnił, potem zjechał na pobocze i zatrzymał się.

Brandy rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

- Dlaczego tu stanęliśmy? - Rozejrzała się wokół, szukając jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia dla tego postępu.

- To dobre miejsce na spacer. - Otworzył drzwi i wysiadł, bez żadnych wyjaśnień. Pochylając się nad jej oknem, spytał: - Idziesz ze mną?

Zaskoczona nagłą zmianą sytuacji, zająknęła się, mówiąc:

- Ale... rodzice spodziewają się mnie w domu. Zazwyczaj jemy wspólnie kolację...

W jego ciemnych oczach pojawił się sardoniczny błysk.

- Nie proponuję ci spędzenia tutaj nocy, tylko krótką przechadzkę. Jesteś przecież dorosłą kobietą, Brandy. Wątpię, by twoi rodzice niepokoiли się, jeśli spóźnisz się dwie godziny. A jeśli chodzi o kolację, pewien jestem, że twoja matka poradzi sobie bez twojej pomocy.

Trudno było polemizować z takimi rzeczowymi argumentami. Brandy złożyła broń i wysiadła z samochodu.

Z wypalanej słońcem pustyni biło nadal ciepło, mimo że najgorszy skwar już minął. Idąc, mijali kępy bylicy i szaławii, kłujące agawy i gigantyczne kaktusy saguaro, na tle których wyglądali jak krasnoludki.

Kaktusy obsypane były ogromną ilością jakby powleczonych woskiem kwiatów, będących symbolicznym wizerunkiem Arizony.

Saguaro zawsze zakwitały ostatnie, pozwalając swym mniejszym kuzynom być zwiastunami wiosny.

Już w marcu małe jeżowate kaktusy otwierały swe różowo-purpurowe kwiaty, a miesiąc później kłujące ocotillo rozwijały ognistopurpurowe trąbki. Ale saguaro czekały aż do końca maja, przynosząc początek nowego roku Indianom Papago.

Brandy nie mogła oderwać wzroku od majestatycznych saguaro o prostopadłych kolcach; ich pnie wyciągały się ku niebu, gałęzie unosiły odważnie ku słońcu. Wrogi klimat nie był w stanie ich zniszczyć, a świadczył o tym chociażby fakt, że dopiero w wieku siedemdziesięciu pięciu lat zaczynały się rozrastać.

Większość rosnących tu kaktusów pamiętała jeszcze narodziny Stanów Zjednoczonych... Brandy mimo woli poddała się ponadczasowej magii tych wspaniałych roślin.

- Och, Jim, ileż one mogłyby opowiedzieć! - wyszeptała.

Jim zerknął na nią z pobłażliwym uśmiechem.

- Idę o zakład, że nie żałujesz pójścia ze mną na spacer - powiedział.

- Nie żałuję. - Obrzuciła przelotnym spojrzeniem jego wyraźnie ubawioną twarz. - Od początku właściwie nie miałam nic przeciw temu.

- Doprawdy? - Uniósł w górę ciemną brew na znak powątpiewania.

- Och, może trochę - przyznała, obserwując drwiący uśmiech na jego wargach.

Po szosie znajdującej się z tyłu przemknął jakiś wóz, natrętnie przypominając o cywilizowanym świecie. Brandy wzdrygnęła się, jakby wyrwana z pięknego snu.

- Chodźmy trochę dalej - powiedział Jim, biorąc ją pod ramię i kierując ku dalekiej, nie kończącej się przestrzeni.

- Nigdy nie potrafiłam zrozumieć ludzi, którzy nie lubią pustyni - powiedziała w zadumie. - Nawet Karen uważa, że pustynia to brzydki, ponury, jałowy kawał ziemi, i nic ponadto.

- Być może to kwestia innych upodobań, innej mentalności - odparł wolno.

- A ty lubisz pustynię? - Nieoczekiwanie jego odpowiedź stała się dla niej niezwykle ważna. Nie zniosłaby, gdyby nie zauważał piękna i uroku tego niezwykłego krajobrazu...

- Tak - zabrzmiała prosta, jasna odpowiedź.

- Nie chciałabym mieszkać nigdzie indziej - wyznała, omiatając wzrokiem bliski sercu pejzaż. Na zachodnim skraju horyzontu unosiła się ledwie widoczna niebieskawa mgiełka.

- Ja też nie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Ale ty przecież tutaj nie mieszkasz!

- Mieszkam. - Uśmiechnął się tajemniczo. - Mieszkam tu od lat, ale to jeden z moich najbardziej strzeżonych sekretów.

- Gdzie mieszkasz? - spytała zaintrygowana. - Chyba nigdzie w pobliżu?

- Skoro tak twierdzisz. - Wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się drwiąco.

Zatrzymała się nagle i popatrzyła na niego w skupieniu. Zdała sobie sprawę, że mówił prawdę...

- Mówisz poważnie, prawda? - powiedziała jakby sama do siebie. - Mieszkasz w Arizonie.

- Tak. - Po prostu stwierdził fakt.

- Nie musisz odpowiadać na moje pytanie - dodała pośpiesznie. Jeśli to była jego tajemnica, nie musiał jej wyjawiać. Chociaż zżerała ją ciekawość, nie chciała go zmuszać do wyznań.

- Nie chcę tego przed tobą ukrywać - odparł niespodziewanie. - Zresztą nie sądzę, żebyś rozpowiadała o miejscu mego zamieszkania, wiedząc, jak bardzo cenię sobie prywatność. - Dłuższą chwilę milczał, jak gdyby wzmagając napięcie, wreszcie rzekł: - Moim domem jest ranczo Saguarro.

Pod wpływem szoku otworzyła szeroko swe niebieskozielone oczy.

- Ależ ono należy do jakiejś korporacji z Kalifornii! - zaprotestowała. - Tak było od lat.

- Owszem - zgodził się bez oporu. - Ale musisz wiedzieć, że jestem jedynym udziałowcem tej korporacji.

Nie wiedziała, co powiedzieć, roześmiała się więc lekko. Wierzyła mu, ale nadal uważała całą rzecz za niewiarygodną... - A zatem... witaj, sąsiadko!

Podawała mu rękę, uśmiechając się z wdziękiem; w jej różowionych policzkach ukazały się dołeczki.

- Witaj, sąsiedzie.

Długo, zbyt długo nie puszczał jej ręki, ale Brandy oszołomiona niespodziewanym rozwojem wypadków, zdawała się tego nie dostrzegać.

- Jak to zrobiłeś? To znaczy, jakim cudem udało ci się zachować tajemnicę?

- Na ranczu jest mały pas startowy, na który przylatuję. O moich wizytach nikt nie wie - odparł.

- Z wyjątkiem pracowników rancza, prawda? - podkreśliła.

- Nie zapominaj, że im płacę - zauważył drwiąco. - Częściowo właśnie za to, żeby trzymali język za zębami.

- I nie zawiedli cię? - Brandy z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Och, była wprawdzie jedna czy dwie wpadki - przyznał. - Krążyło trochę plotek, ale udało mi się ukrećić im łeb.

- I nikt nie żywi podejrzeń w związku z twoim pobytem na ranczu? - Z zaciekawieniem przechyliła głowę na jedną stronę.

- A ty żywiłaś podejrzenia? - zażartował.

- Przypuszczałam, że zaproszono cię tam na czas kręcenia filmu - odparła z ożywieniem.

- Wszyscy tak uważają. I w pewnym sensie to szczerą prawdą, ponieważ zaprosiłem tu sam siebie. - W jego czarnych oczach tańczyły wesołe iskierki.

Brandy, nadal potrząsając głową, mimochodem spuściła wzrok i dopiero teraz zauważyła, że duża dłoń Jima ciągle trzyma jej rękę.

- Przez cały czas byłeś moim sąsiadem. - Zamyśliła się, a nikły uśmiech błakał się na jej wargach.

Zacisnął uścisk wokół jej dłoni, jak gdyby chciał znów zobaczyć jej niebieskozielone oczy; uniosła głowę do góry, a wówczas nieodgadnione, mroczne spojrzenie Jima wciągnęło ją w jakąś czarną otchłań. Bicie serca odebrało jej dech i zupełnie nie wiedziała, jak to się stało, że znalazła się w jego ramionach niczym branka wzięta do niewoli. Odchyliwszy głowę do tyłu, obserwowała, jak jego ciemna twarz się przybliża, zaczyna przesłaniać jej cały świat, a żar bijący z jego oczu przenika ją na wskroś. A potem zobaczyła jeszcze jego rozchylone usta, wreszcie poczuła ich twardy uścisk na swych wargach. W tym pocałunku nie było nic czułego, nic delikatnego, jego gwałtowność i nieustępliwość domagająca się natychmiastowej odpowiedzi poraziła ją.

Rzęsy jak złoty welon przesłoniły jej policzki, gdy ramionami oplotła mu szyję, czując obezwładniającą bezradność i falę rozkosznego ciepła, od której osłabła. Z jej gardła wydobyło się jeszcze ciche westchnienie - jękliwy protest przeciw przeznaczeniu, któremu nie miała siły się przeciwstawić.

Jej ciało zdawało się zlewać z jego ciałem, natarczywe usta rozchyłały jej drżące wargi, wywołując w niej dziwne, nieznanne wrażenie. Oczami duszy widziała ustawiczny, nie kończący się zachód słońca w kolorach tak żywych, tak jaskrawych, że zdawały się

razić wzrok. Była to mieniąca się tęcza czerwieni i oranżu, magiczna feeria barw od miedzi i złota poprzez purpurę i karmazyn do ciemnej wiśni, dostojnego fioletu i jasnego błękitu lawendy. Zdawało się, że kolory te wyszły spod pędzla jakiegoś niebiańskiego artysty...

Przytulona do ciała Jima, czuła każdy jego mięsień tuż przy swoim ciele. Zmysłowy dotyk jego warg na policzkach i szyi sprawiał, że poddała się gorącej fali namiętności, która zaczęła targać jej smukłym ciałem tak, że drżała i było jej na przemian zimno i gorąco.

Po nieskończeniu długiej chwili Jim oderwał od niej usta, ale nadal trzymał ją w mocnych ramionach. Odchylił jej głowę do tyłu i z wyzywającym błyskiem w oczach przyglądał się jej błagalnemu wyrazowi twarzy.

- Powtórz mi teraz, że nie pójdziesz ze mną na kolację - powiedział zduszonym, przejętym głosem, w którym dosłyszała cień groźby.

Jakżeby mogła odmówić mu teraz, po tym, co się stało... Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale znów zamknął je gorącym, namiętnym pocałunkiem, jakby nakazując jej na chwilę jeszcze zapomnieć o czasie, miejscu i okolicznościach. Całował ją teraz wolno, leniwie przesuwał gorącymi wargami po jej nosie, oczach i policzkach. Co on z nią robił? Czuła, że zemdleje, jeśli natychmiast nie przestanie...

- Nie pozwolę ci odejść, zanim nie powiesz „tak” - zagroził, usta jego znalazły się znów nad jej wargami.

- W takim razie... - Brandy zająknęła się z wrażenia. - W takim razie poczekam jeszcze chwilę... - dodała śmiejąc, odwracając głowę na spotkanie jego ust.

- Ty mała czarownico! - roześmiał się i obdarzył ją pocałunkiem, którego pragnęła. Potem patrzył w milczeniu w jej twarz owianą miękkim światłem zachodzącego słońca. Zamknęła oczy i odchyliła głowę, ale nie doczekała się następnego pocałunku. - Powinniśmy już wracać - powiedział cicho. - Nim będzie za późno...

Poczuła lekkie rozczarowanie; w tym samym momencie nabrała niezachwianej pewności, że niczego nie będzie żałować - niczego, co mogłoby się wydarzyć. Pod wpływem impulsu mocniej zacisnęła ręce wokół jego szyi. On jednak chwycił ją stanowczo za łokcie i wycofał się.

Brandy przeraziła się, że Jim ma zamiar całkowicie się wycofać - tak samo, jak postąpił tamtego poranka po burzy piaskowej na pustyni. Och, nie zniosłaby tego więcej! Nie zniosłaby, gdyby ją znów poprosił, żeby o wszystkim zapomniała...

Nim jednak zdołała całkiem pogрузić się w rozpacz, Jim objął ją i lekko przytulił. Dostosowując do niej krok, zaczął iść w stronę samochodu.

W samochodzie nie od razu uruchomił silnik. Siedział przez chwilę, trzymając ramię na oparciu jej fotela. W oczach, które ku niej zwrócił, dostrzegła wyraz zadumy.

- Zapamiętaj, Brandy, że sukces i sława nie zmieniają człowieka - oświadczył nad wyraz poważnym tonem. - Nadal pozostaje tym, kim

był. Tylko pogłębiają się jego wady i słabości... Takie jak: próżność, samolubstwo, pycha czy też okrucieństwo. To samo odnosi się do jego zalet. Człowiek się nie zmienia. Zmienia się natomiast sposób, w jaki jest postrzegany przez innych ludzi. - Oczy jego zdawały się przenikać ją do głębi. - Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Z zaskakującym spokojem Brandy wytrzymała to intensywne, przeszywające spojrzenie. I naraz dziwne ciepło przepelniło jej serce, ponieważ zdała sobie sprawę z wymowy tych słów.

- Tak, rozumiem - powiedziała z oczami roziskrzonymi radością.
- Jesteś tym samym mężczyzną, którego spotkałam na pustyni i nigdy nie byłeś nikim innym... To moja wyobraźnia stworzyła sobie twój inny wizerunek - dodała ciszej.

Westchnął z głęboką ulgą i powoli uśmiech złagodził twardą linię jego ust. Na widok tych zmysłowych, męskich warg serce Brandy znów zabiło jak szalone.

- Ja, Jim Corbett - zaczął uroczyście - chciałbym tu i teraz usłyszeć, że w sobotę wieczór zjesz ze mną kolację.

Stanowczy, a jednocześnie pieszczotliwy głos sprawił, że po całym jej ciele zaczęły przechodzić rozkoszne dreszcze.

- Bardzo pragnę zjeść z tobą kolację w sobotni wieczór - odparła z nie skrywanym entuzjazmem.

- I nie zmienisz zdania, prawda? - upewnił się z błyskiem rozbawienia w oku. - Bo jeśli będę musiał, porwę cię! - zagroził pół żartem, pół serio.

- Na pewno? - Uśmiechnęła się figlarnie.

Jim patrzył przed siebie, a w jego oczach błyszczały wesołe ogniki.

- Tylko spróbuj - wymamrotał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Brandy wygodnie zapadła się w fotelu, ogarnięta niewiarygodną mieszanką uczuć - błógiego zadowolenia i satysfakcji oraz podniecenia przyprawiającego o zawrót głowy. Zakochała się w Jimie Corbetcie! Ale świadomość tego faktu wcale jej nie przerażała.

Patrzyła na niego w milczeniu; na tle zachodzącego słońca jego ciemny profil rysował się z niezwykłą wyrazistością. Biła od niego jakaś skupiona siła, która działała na Brandy pokrzepiająco.

Niespodziewanie odwrócił się ku niej i jego oczy zaświeciły blaskiem. Bez słowa wziął ją za rękę i delikatnie pieścił jej dłoń przez całą drogę do domu.

Na podjeździe ani nie zgasił silnika, ani nie puścił jej ręki. Dłuższą chwilę przyglądał jej się badawczo, potem rzekł:

- Czy wpół do ósmej w sobotę ci odpowiada?

Odniosła wrażenie, że do soboty pozostały jeszcze całe wieki.

- W porządku - wykrztusiła wreszcie, gdy już zaczął się niecierpliwić.

Nagle zawahał się.

- W sobotę będziemy kręcić, więc może mnie coś zatrzymać.

Ale przyjadę na pewno. A jeśli się będę spóźniał, nie dawaj za wygraną. - Wykrzywił usta w tryumfalnym półuśmiechu.

- Zaczekam. - Będzie czekała całą wieczność, jeśli zajdzie taka potrzeba, pomyślała.

- Radzę ci, dotrzyмай słowa, Brandy... - powiedział cicho, jakby do siebie, z dziwną, stanowczą nutą w głosie. - Jeśli spóźnienie okaże się znaczne, spróbuję zatelefonować - dodał głośnie.

- Dobrze - przytaknęła ze zrozumieniem.

Gdy to usłyszał, oczy mu zabłysły.

- Chodź tutaj.

Nie potrzebowała ponownej zachęty, by przysunąć się do niego i rozchylić namiętnie usta pod mocnym naporem jego warg. Zanim zdążyła dojść do siebie, na nowo owładnięta zmysłowym żarem, Jim odsunął się lekko, lecz stanowczo.

- Lepiej już idź - powiedział - nim twoi rodzice zorganizują kolejną ekspedycję ratunkową.

- Tak, lepiej pójdę - powtórzyła jak automat, ale trzęsącą się ręką nie mogła trafić do klamki.

Gdy wreszcie otworzyła drzwi, Jim powtórzył:

- Sobota, o wpół do ósmej! Tak jakby mogła zapomnieć...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Światła reflektorów samochodu skręcającego na podjazd zabłyśły w oknach salonu.

- Już jest! Mamo, jak wyglądam? - Brandy była bardziej zdenerwowana niż przed swoją pierwszą randką, a właściwie wszystkimi randkami razem wziętymi. Przesunęła teraz rozgorączkowany wzrok z pobłażliwie uśmiechniętej twarzy matki na swoje odbicie w lustrze.

Wybór ubrania był dla niej trudną decyzją. Długo wahała się, czy włożyć coś wystrzałowo eleganckiego, czy też ubrać się elegancko, lecz swobodnie. Ostatecznie strój, jaki włożyła, nie pasował do żadnej z tych koncepcji.

Kremowe spodnie z cienkiej, lejącej się dzianiny, o szerokich nogawkach, podkreślały jej złotawą opalenizną oraz smukłe linie ciała. Prosta, klasyczna tunika stanowiła doskonale tło dla naszyjnika zrobionego przez Indian Nawajo, turkusy zaś podkreślały niebieskozielony odcień jej oczu. W uszy wpięła długie kolczyki, które kołysały się zalotnie wraz z każdym poruszeniem głowy.

- Wyglądasz cudownie - zapewniła ją Lenora Ames.

- Och, przesadzasz, mamo... - Brandy podskoczyła, słysząc trzask zamykanych drzwi.

- Brandy... - W głosie Lenory słychać było nutę przestrogi.

Na ustach Brandy pojawił się cień uśmiechu. Doskonale wiedziała, co matka chce jej powiedzieć. To miało być zawoalowane

ostrzeżenie, że Jim jest o wiele starszy, bardziej doświadczony i przyzwyczajony do innego trybu życia, przede wszystkim zaś - jest gwiazdorem filmowym! Pragnęła ją przestrzec, by nie robiła sobie wielkich nadziei i nie traktowała tej znajomości zbyt poważnie... Brandy o tym wszystkim wiedziała, ale nie potrafiła zastosować się do mądrych rad. Było już stanowczo za późno, by zmieniła swój stosunek do Jima Corbetta...

- Wiem, co robię, mamó - powiedziała łagodnie, choć z pewnym nieznacznym naciskiem świadczącym, że jest pewna tego, co mówi.

Gdy jednak zadźwięczał dzwonek, straciła nad sobą kontrolę, a kiedy otwierała drzwi, kolana się pod nią ugiwały.

Wysoki mężczyzna w ciemnoszarym garniturze z jedwabną kamizelką uśmiechnął się do niej szeroko. Z wolna przesunął po niej szacującym wzrokiem. Gdy spojrzała mu w oczy, dojrzała w nich błysk podziwu.

Po chwili odzyskała nieco pewności siebie, ujęła go za rękę i poprowadziła do salonu.

- Spóźniłeś się zaledwie kwadrans - oświadczyła radośnie.

Przykuł wzrok do jej błyszczących ust, a Brandy odczuła to spojrzenie jak fizyczną pieśczętę, zwłaszcza że w tym samym momencie władczo zacisnął palce wokół jej dłoni.

- Jesteś piękna - wyszeptał głębokim głosem.

Patrzyła na niego jak urzeczona; pragnęła zatracić się w bezkresnej głębi jego spojrzenia. I całkiem zapomniała, że nie byli

sami w pokoju. Dopiero dyskretne chrząknięcie jej ojca przywołało ją do rzeczywistości. Zarumieniła się lekko, wyjmując dłoń z ręki Jima.

- Przyniosę torebkę i zaraz wyjdziemy - powiedziała.

- Nie ma pośpiechu. - Jim uśmiechnął się lekko, podchodząc do państwa Ames. - Miło mi państwa znowu widzieć.

Nastąpiły uściski dłoni i wymiana grzeczności. Gdy Brandy wróciła z torebką, z nie skrywaną dumą zajęła miejsce u boku Jima.

- Gotowa? - Przesunął pełnym ciepła wzrokiem po jej rozradowanej twarzy.

- Tak. Dobranoc mamó i tato. Swobodnym ruchem wziął ją pod ramię.

- Dobranoc państwu - pożegnał się i dodał z naciskiem: - Proszę się nie martwić, pani Ames, Brandy jest ze mną całkiem bezpieczna.

Lenora uśmiechnęła się, jakby nieco zaskoczona i obrzuciła Brandy znaczącym spojrzeniem, ale nie skomentowała tego zapewnienia.

- Skąd wiedziałeś, że moja matka się niepokoi? - spytała Brandy, gdy już wyszli na zewnątrz.

- To naturalne. - Jim uśmiechnął się z przekąsem.

- Domyślam się, że moja reputacja pozostawia wiele do życzenia.

- To prawda - przyznała bez ogródek, a w jej oczach, podobnie jak w jego, pojawiły się żartobliwe błyski. - Słyszałam, że masz zwyczaj uwodzić i porzucać.

- Już się martwisz? - Przytrzymał dla niej drzwi samochodu.

- Jeszcze nie - roześmiała się szczerze i, co dziwniejsze, była to szczerza prawda.

Nim zdążyła wsunąć się na fotel, przytrzymał ją za ramię. Zaskoczona popatrzyła nań pytającym wzrokiem. Z uśmiechem uniósł palcem jej podbródek i czule pocałował ją w usta.

- Nie martw się! - nakazał, pozwalając jej wejść do samochodu.

Co to miało oznaczać? Brandy patrzyła za nim, gdy obchodził samochód. Czyżby chciał powiedzieć, że tym razem - z nią - będzie inaczej? Och, ale cóż to miało za znaczenie! Teraz, gdy czekał ją wieczór - długi wieczór z Jimem! - szkoda było tracić cenny czas na rozwiązywanie takich łamigłówek!

- Jesteś głodna? - Jim skreślił na drogę wiodącą do Tucson.

- Umieram z głodu! - oświadczyła z zapalem. - Dokąd pojedziemy?

Wymienił nazwę znanej w okolicy restauracji. Brandy nigdy tam nie była, toteż nie wyraziła swej opinii. Gdy czas dłuższy milczała, spytał:

- Coś nie w porządku?

- Och, nie! - zaprzeczyła pośpiesznie. - Tylko myślałam... - Zawahała się lekko. - Myślałam, że zjemy u ciebie na ranczu... To znaczy nie byłam pewna, czy chcesz pokazać się w miejscu publicznym.

- Miałbym się wstydzić pokazać z tobą? - spytał, marszcząc brwi.

- Ależ nie! - zaprotestowała. - Myślałam, że po prostu wolisz zachować swą prywatność i uchronić się od plotek...

Zaśmiał się cicho pod nosem; ta nagła zmiana jego nastroju wprawiła Brandy w zakłopotanie.

- Co w tym takiego zabawnego? - spytała nadąsana.

- Widzisz, byłem przekonany, że nie zechcesz spędzić ze mną wieczoru w moim domu. - Rzucił jej rozbawione spojrzenie. - Poza tym nie ufam sobie zbyt, gdy jestem z tobą sam na sam.

Na samą myśl o tym, że mogłaby pójść z Jimem do łóżka, zalała ją fala obezwładniającego ciepła i niemal straciła oddech.

- Brak odpowiedzi? - zadrwił.

Pokręciła przecząco głową, nie mogąc zmusić swego głosu, by zabrzmiał spokojnie; zmysły wirowały jej jak na szalonej karuzeli.

- Czy naprawdę cię to przestraszyło, Brandy? - Jego głos brzmiał spokojnie i delikatnie zarazem.

- Nie - wyjąkała wreszcie.

Na jego twarzy pojawił się niespodziewanie smutny uśmiech.

- Nie powinnaś tego mówić - powiedział.

- Dlaczego?

- Ponieważ mógłbym zrozumieć cię zbyt dosłownie. -

Przeciągnął wzrokiem po jej zakłopotanej twarzy. - Dla ciebie to jeszcze za wcześnie... - dodał w zadumie.

Brandy przyznała mu w duchu rację. Jeszcze nie przywykła do myśli, że go kocha... Zaledwie kilka dni temu nie chciała się z nim

widzieć. Może już wówczas podświadomie wiedziała, że jeśli go spotka raz jeszcze, natychmiast się w nim zakocha?

Na zakręcie drogi wiodącej przez górską przełęcz wyłoniły się pierwsze budynki Tucson. W dole, za purpurową mgiełką zachodzącego słońca, lśniły światła miasta otoczonego ciemnymi sylwetkami górskich masywów.

- Znasz tę restaurację? - Jim zręcznie zmienił temat.

- Nigdy tam nie byłam. A ty?

- Bywam tam od czasu do czasu. Przywykli do goszczenia znanych osób, więc nasza wizyta nie wywoła sensacji - zapewnił.

Po wejściu do lokalu Brandy uznała, że tylko częściowo była to prawda. Jim został natychmiast rozpoznany; Brandy, co prawda, uważała, że nawet gdyby nie był sławnym aktorem i tak zwracałby powszechną uwagę.

Maitre d'hotel wyszedł im na powitanie.

- Pan Corbett! - powiedział z szacunkiem. - To dla nas prawdziwy zaszczyt.

Jim przyjął te słowa z uśmiechem.

- Poproszę o zaciszny stolik dla nas dwojga - powiedział, kładąc nacisk na słowo „zaciszny”.

- Oczywiście, proszę pana.

Po chwili poprowadzono ich do ustronnego miejsca w końcu sali. Brandy zauważyła, że gdy przechodzili obok innych stolików, osoba Jima wzbudzała powszechne zainteresowanie. Nie było trzasku

aparatów fotograficznych ani próśb o autografy, jednak jego przybycie wywołało pewne poruszenie.

Nie zdawała sobie sprawy, że jej także przyglądano się z zainteresowaniem. Nie tylko pojawiła się w towarzystwie Jamesa Corbetta, ale w dodatku sławny aktor władczym ruchem obejmował ją w tali...

Stanowili piękną parę, dobraną na zasadzie kontrastu. On - muskularny, wysoki, bardzo ciemny i bardzo męski, ona zaś drobna, smukła, czarująca blondynka.

Przy stoliku Jim wysunął dla niej krzesło. Gdy usiadła, pochylił się nad nią, jakby chciał przybliżyć jej krzesło do stołu, zamiast tego jednak czule przycisnął usta do pulsującej żyły na jej szyi, co przyprawiło Brandy o gęsią skórę na ramionach.

Brandy, oszołomiona, ciągle czując na ciele rozkoszny dreszcz, rozejrzała się wokół zakłopotana. Gdy Jim usiadł obok niej, śmiechem starała się pokryć zmieszanie.

- Nie powinieneś był tego robić - powiedziała zalotnie. - Wszystkie twoje wielbicielki będą zazdrosne.

- I wszyscy mężczyźni - odparował, przyglądając się jej zaróżowionym policzkom.

- Nie żartuj! - zgromiła go, ostentacyjnie zasłaniając się kartą.

- Wcale nie żartuję - rzekł swobodnie, starając się mimo wszystko pochwycić jej spojrzenie. - Zauważyłem, jak na ciebie patrzono, gdy podchodziliśmy do stolika. Idę o zakład, że nie ma tu mężczyzny, który nie chciałby zamienić się ze mną miejscami. Ale

powinni być świadomi, że będą mieć ze mną do czynienia, jeśli zechcą się do ciebie zbliżyć.

Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem, ale on już zaczął studiować menu. Z beznamiętnie teraz wyglądającej twarzy nie potrafiła wyczytać, czy mówił serio, czy żartował.

- Czy podać państwu aperitif? - Przy stoliku pojawił się kelner.

Przybycie kelnera rozładowało napiętą atmosferę. Jim rozparł się wygodnie na krześle i głęboko odetchnął. Brandy zauważyła wokół jego ust i oczu zmarszczki świadczące o przemęczeniu.

- Miałeś ciężki dzień? - Cicho wypowiedziane pytanie zabrzmiało współczująco.

- To widać? - Uśmiechnął się smętnie, potem westchnął. - Napracowałem się fizycznie, biegając tam i z powrotem po schodach, tarzając się w błocie i napinając mięśnie, których istnienia nawet nie podejrzewałem. - Roześmiał się cicho sam do siebie. - Rozumiesz, przeciętny, zwykły, pracowity dzień.

- Tak to wygląda - zgodziła się z uśmiechem, pokazując dołeczki na policzkach. - Ale jakby nie było, nie jesteś w najlepszej formie - zakpiła.

- Cóż, starzeję się. - Wzruszył ramionami, ale w głosie jego zabrzmiała nuta żalu.

Kelner podszedł z drinkami; Brandy poczekała, aż odejdzie, nim pozwoliła sobie na komentarz.

- Musisz być rzeczywiście stary. Ile masz lat? Trzydzieści trzy?

- Jeślibyś dokładnie przeczytała mój życiorys, wiedziałabyś, że mam trzydzieści cztery lata - poprawił ją.

- Jim, kochanie! - rozległ się gardłowy, kobiecy głos, na którego dźwięk Brandy drgnęła niespokojnie.

Powoli przeniosła zaskoczone spojrzenie na sunącą w kierunku ich stolika kruczoczną LaRaine Evans. Cera koloru kości słoniowej, jaskrawoczerwone usta i oczy błyszczące jak lustro górskich jezior żywo kontrastowały z oszłamiającą suknią z czarnej koronki, która ciasno opinała figurę, nie pozostawiając w tym względzie pola dla wyobraźni. Brandy, porównując się z tą oszłamiającą kobietą, poczuła się jak brzydkie kaczątko.

Ukradkiem zerknęła na Jima, jakby szukając niemego pocieszenia, ale on właśnie wstawał z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Nie mogła dociec, czy był zaskoczony, zadowolony, a może zły z powodu nagłego pojawienia się swej przyjaciółki.

Nie zwracając uwagi na innych gości - a może właśnie z ich powodu - LaRaine podeszła prosto do Jima i oparłszy ozdobione pierścionkami palce na jego klatce piersiowej, uniosła się lekko na palcach i pocałowała go w policzek. Na opalonej skórze pozostał krwistoczerwony ślad.

- Och, co ja najlepszego zrobiłam! - zawołała z teatralną afektacją. Sięgnęła do kieszonki jego garnituru, wyjęła chusteczkę i starła ślad szminki z czułością żony lub... kochanki.

Brandy na ten widok poczuła ukłucie w sercu, ale opanowała się i siedziała nadal z kamienną twarzą.

- Już po wszystkim, kochanie - zamruczała aktorka. - Ani śladu.

Gdy wkładała białą chusteczkę z powrotem do kieszonki, Jim wyręczył ją.

- Dziękuję, zrobię to sam - powiedział chłodno.

- Naprawdę gniewam się na ciebie - oświadczyła z nadąsaną miną - za to, że uciekłeś dziś ode mnie bez słowa.

- Byłem już spóźniony na spotkanie - odparł spokojnie, po czym chcąc skierować jej uwagę na Brandy, dodał: - Pamiętasz pannę Ames, prawda?

LaRaine zmierzyła Brandy zimnym, wyniosłym spojrzeniem.

- Oczywiście, że tak - wycedziła. - Brandy, nieprawdaż? Pamiętam to niezwykle imię.

Ta uwaga nie pozostawiła wątpliwości. LaRaine chciała powiedzieć, że zapamiętała tylko imię.

- To prawda, panno Evans - odparła Brandy.

- Och, mów mi LaRaine - nalegała aktorka, spoglądając znacząco na Jima. - W końcu tak wiele nas łączy...

Sugeruje, że obydwie pragniemy tego samego mężczyzny, pomyślała Brandy z niesmakiem, i w jednej chwili, w konfrontacji z drapieżną LaRaine, poczuła się słaba i bezbronna jak dziecko.

- Już dobrze, Jim... - Aktorka uśmiechnęła się czarująco. - Wybaczam ci, że nie powiedziałeś mi prawdy... Ale pamiętam, że lubisz być punktualny, jeśli się umawiasz z dziewczyną... Wszystko

się jednak dobrze skończyło, ponieważ wreszcie jesteś na moim przyjęciu!

Brandy popatrzyła pytająco na Jima, a w jej głowie pojawiły się złowrogie myśli. O czym mówiła ta kobieta? Jakie przyjęcie?

Dlaczego Jim nic o tym nie powiedział!

- To właśnie dzisiaj wydajesz przyjęcie, LaRaine? - Przechylił nieco głowę, lecz wyraz oczu miał zimny i obojętny. - Pamiętam, że wspominałaś o jakimś przyjęciu, ale wybacz, naprawdę o nim zapomniałem.

- Ależ jesteś okrutny, kochanie - oświadczyła z tajemniczym uśmiechem. - Doskonale wiesz, że mówiłam ci o dzisiejszym przyjęciu.

Brandy odebrała te słowa jak smagnięcie batem; skoro Jim nie zamierzał pojawić się na przyjęciu, a mimo wszystko ją tutaj przyprowadził, mógł mu przyświecać tylko jeden cel - chciał, aby LaRaine zobaczyła go w jej towarzystwie!

Trudno było uwierzyć w zwykły zbieg okoliczności...

- Reszta gości już się bawi w zamkniętej sali - ciągnęła LaRaine bezlitośnie. - Weź swojego drinka i przyłącz się do nas! Ty także, Brandy - dodała łaskawie.

- Nie, dziękuję - odparł gładko. - Wolelibyśmy zjeść z Brandy spokojną kolację.

- Nonsens! - Doskonale pomalowane, czerwone usta rozciągnęły się sztucznie. - Każda dziewczyna w jej wieku lubi bywać na przyjęciach. Czyż nie mam racji, Brandy?

Cóż miała odpowiedzieć? Spojrzała na Jima, oczekując wsparcia, on jednak leniwym wzrokiem spoglądał na czarnowłosą piękność stojącą przy jego boku. Jakąż dobraną stanowili parę, pomyślała Brandy z zazdrością. Oboje bardzo ciemni, o bujnej, oryginalnej urodzie i żywiołowych osobowościach... Czy miała przyjąć zaproszenie LaRaine, czy też odmówić? Och, wołała nie dać się wciągnąć w ich spór - czegokolwiek by nie dotyczył... Na myśl o tym, że Jim wykorzystuje ją jak parawan, odczuwała ogromny ból - ból nie do zniesienia.

I jakże zwodniczo potrafił się zachować! Jakże przymilnie... Naprawdę uwierzyła, że pragnął wyłącznie jej towarzystwa. Ale cóż miała teraz począć?

- Niekoniecznie - zdecydowała się na dyplomatyczną odpowiedź, przelotnie zerkając na Jima.

- Z pewnością wolisz, nie zaprzeczaj! - upierała się LaRaine. Spod długich rzęs spoglądała na Jima, unosząc jednocześnie mocno wyskubane brwi w oczywistym geście drwiny. - Ona chyba się ciebie boi, kochanie. Nie chce powiedzieć niczego, co mogłoby cię urazić.

Z chmurnym czołem rzucił Brandy groźne spojrzenie.

- Czy rzeczywiście chcesz iść na przyjęcie? - spytał cichym głosem.

Nie! - chciała wykrzyknąć. Chcę zostać tutaj i zjeść z tobą kolację sam na sam! Ale czyż musiała to mówić? Było przecież oczywiste, czego naprawdę pragnęła...

- Jest mi wszystko jedno - odpowiedziała zrezygnowana, odwracając oczy, by nie wyczytał w nich złości, bólu i upokorzenia.

- A widzisz! - zawołała tryumfalnie LaRaine. - Ona chce być na przyjęciu, tylko jest zbyt nieśmiała, by ci to w oczy powiedzieć.

Jim zacisnął usta w ponurą linię, twarz mu stężała.

- W takim razie przyłączymy się do twoich gości, LaRaine. - Zacisnął rękę na oparciu krzesła Brandy z taką siłą, jakby chciał je złamać. - Prowadź!

Na twarzy aktorki, gdy wiodła ich do małej, zacisznej salki, malowała się wyraźna satysfakcja. Jim boleśnie zaciskał rękę na łokciu Brandy. Wyczuwała, że pod tym pozornie uprzejmym gestem kryje się tłumiona wściekłość.

Na chwilę zatrzymał się, aby uprzedzić kelnera, że przyłączają się do przyjęcia. Dzięki tej zwłoce LaRaine znalazła się kilka kroków przed nimi.

- Nie musiałaś się wahać - burknął prosto do ucha Brandy. - Mogłaś powiedzieć od razu, że chcesz iść na przyjęcie, zamiast niepotrzebnie się mitygować.

To było niesprawiedliwe oskarżenie; Brandy zareagowała natychmiast.

- Jeśli chciałabym pójść, powiedziałabym to otwarcie! - wybuchła. - Ale przecież było oczywiste, że ty masz na to ochotę!

- Ja?! - Jim wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Przecież właśnie dlatego tutaj przyszliśmy, nieprawdaż? - powiedziała ze zjadliwą uprzejmością, po czym odrzuciła głowę do tyłu i patrzyła przed siebie martwym wzrokiem.

Roześmiał się cicho, nieprzyjemnie, ale jego wisielczy humor po chwili minął.

- Powinienem był pamiętać - rzekł poważnie - że wyrażasz swe myśli bez skrpułów. Ale teraz, chodźmy już, skoro się zobowiązaliśmy.

Odwróciła głowę w jego stronę i popatrzyła nań uważnie.

- Czy to oznacza, że wcale nie miałeś ochoty na to przyjęcie?

- Najmniejszej! - odrzekł stanowczo, a zmarszczki wokół jego ust pogłębiły się nieznacznie. - Byłbym szczęśliwy, mogąc spędzić wieczór tylko z tobą.

Weszli do wydzielonej sali. Hałas, śmiech, okrzyki powitania - wszystko to uniemożliwiło dalszą rozmowę. Brandy nie mogła poprosić o wyjaśnienia, pozostała więc pełna bolesnych wątpliwości. A zresztą, jeśli zaprosił ją na kolację do tej właśnie restauracji, aby wzbudzić w LaRaine zazdrość, trudno się było spodziewać, że jej to teraz szczerze wyzna. Musiał się przecież domyślić, że zdążył już zawrócić jej w głowie...

Pełna smutnych myśli rozejrzała się po sali; na przyjęciu było już co najmniej dziesięć osób; jedni tańczyli na parkiecie, stale zmieniając partnerów, inni biegali tam i z powrotem do baru, żeby napełnić kieliszki. Rzucała się w oczy liczebna przewaga mężczyzn, obecne zaś kobiety nie prezentowały się szczególnie atrakcyjnie. Nic

dziwnego, pomyślała Brandy zgryźliwie. LaRaine nie chciała mieć prawdziwej konkurencji. Prawdopodobnie z tej samej przyczyny zaprosiła więcej mężczyzn niż kobiet.

Brandy nie знаła tu nikogo; przedstawiani jej ludzie patrzyli na nią z zaciekawieniem, zerkając jednocześnie na LaRaine i Jima. Pomiedzy tym dwojgiem panowała napięta atmosfera - i wszyscy wokół zdawali się to dostrzegać.

Brandy czuła się tutaj nieswojo i jakby nie na miejscu. Drażniła ją panująca dookoła sztuczna wesołość i gwar. Była zadowolona, że Jim mocnym uściskiem trzymał ją u swego boku, mimo że LaRaine z niedźwiedzią subtelnością starała się ich od siebie odciągnąć.

Chociaż Brandy została posadzona obok Jima, LaRaine zajęła miejsce z jego prawej strony, niebale kładąc dłoń na jego ramieniu. Rozmowa toczyła się wokół spraw związanych z filmem, o których Brandy nie miała zielonego pojęcia. Mogła więc tylko słuchać i milczeć.

Jakiś mężczyzna, najwyraźniej samotny, usiadł na wolnym krześle obok niej. Był młody, najwyżej kilka lat starszy od Brandy, jasnooki i jasnowłosy.

- Cześć! - powitał ją przyjacielsko, a jego bladoniebieskie oczy nagle się ożywiły.

Brandy odwzajemniła powitanie, ale milczała zakłopotana, ponieważ zdążyła już zapomnieć jego nazwisko, mimo że z pewnością był jej przedstawiony.

- Bryce Conover - przypomniał z wymuszonym uśmiechem, domyślając się przyczyn jej rezerwy. - A ty masz na imię Brandy, prawda?

Uśmiechnęła się przepaszająco, a potem zerknęła na Jima, żeby sprawdzić, czy zauważył mężczyznę u jej boku. Jim jednak, jak się zdawało, pochłonięty był rozmową z LaRaine.

- Wiem, że mnie nie pamiętasz - ściszony głos Bryce'a Conovera przeznaczony był wyłącznie dla uszu Brandy - ale zauważyłem cię już tamtego dnia, gdy przyszedłaś na plan z Jimem.

- Tam było tak wiele nie znanych mi osób. - Brandy usiłowała się wytłumaczyć, choć tak naprawdę nie miała ochoty na rozmowę z nieznajomym. Czuła się jakby odsunięta na boczny tor. Choć Jim trzymał ją u swego boku, cały czas pochłonięty był słuchaniem LaRaine, ją zaś zupełnie ignorował!

- W porządku - powiedział Bryce wyrozumiałym tonem, choć w jego głosie dał się słyszeć cień goryczy. Widać często się zdarzało, że był nie zauważany... - Zatańczysz? - spytał niespodziewanie.

Już miała odmówić, gdy nagle, znów zerkając w bok, zauważyła długie, purpurowe paznokcie obejmujące rękę Jima i uwodzicielskie błyski w ciemnych oczach LaRaine. Twarz Jima zaś wykrzywił lekki, pobłażliwy uśmiech. I nagle Brandy pomyślała, że Jim w ogóle nie zauważy jej odejścia.

- Chętnie - powiedziała głosem, który wydał jej się obcy. Powstając, obdarzyła Bryce'a trochę wymuszonym uśmiechem, zdając

sobie sprawę, że właśnie teraz Jim przygląda jej się ze zmarszczonym czołem.

- Poprosiłem Brandy do tańca - poinformował go Bryce. - Chyba nie masz nic przeciwko temu, Jim? - W pytaniu tym kryło się ledwie wyczuwalne wyzwanie.

- Oczywiście, że nie - powiedziała LaRaine, nim Jim zdążył zareagować.

Bryce Conover, nie wdając się w dalszą dyskusję, otoczył Brandy ramieniem i poprowadził w stronę parkietu. Zaczęli tańczyć w rytm wolnej, nastrojowej melodii. Bryce chciał przytulić Brandy, opierała mu się jednak stanowczo, raz po raz zerkając w stronę stołu, gdzie siedział Jim.

- Powinnaś o nim zapomnieć - powiedział Bryce. Na widok aroganckiego spojrzenia jego bładoniebieskich oczu wzdrygnęła się w poczuciu winy.

- Wszyscy wiedzą, że Jim Corbett należy do LaRaine - ciągnął bezlitośnie.

- Doprawdy? - Starła się nadać głosowi chłodne brzmienie. - Czy on o tym również wie?

W odpowiedzi otrzymała drwiący uśmiech.

- To publiczna tajemnica, że tych dwoje teraz się kłóci. Zwykle tak się dzieje, gdy stykają się ze sobą dwie silne osobowości. Ale wynik jest przesądzony - Corbett w końcu wygra tę stawkę. No, ale tradycji musi stać się zadość. To coś w rodzaju rytualnych zalotów.

Brandy poczuła, że oblewa ją zimny pot.

- Rozumiem - powiedziała sztywno. - A jaka rola przypadła w udziale mnie?

- Cóż, jesteś jasnowłosym aniołkiem, stanowiącym uderzający kontrast z roztaczającą bardziej ziemskie wdzięki LaRaine.

Niezależnie od tego, co się widzi na filmach, w realnym życiu młode naiwne rzadko kończą w ramionach bohatera. - Pochylił ku niej głowę; Brandy odsunęła się, nie na tyle jednak szybko, by uniknąć pieszczoty jego ust na policzku. - Zostałaś wykorzystana, kochanie, aby doprowadzić LaRaine do wściekłości.

Te słowa potwierdzały wszystkie okrutne przypuszczenia, które dręczyły jej umysł, odkąd pierwszy raz zobaczyła LaRaine. Nie chciała w to uwierzyć, ale musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Jakże zresztą mogło być inne wytłumaczenie?

Muzyka skończyła się wreszcie i Brandy mogła wyswobodzić się z ramion Bryce'a. Wyciągnął jeszcze rękę, żeby chwycić ją w pól, ale odskoczyła na bok.

- Zараż zacznie się następna melodia. Zatańczymy raz jeszcze? - Bryce uśmiechnął się porozumiewawczo, wskazując gestem głowy na stół. - Oni tam wcale się nie nudzą bez ciebie.

Brandy mimowolnie skierowała wzrok we wskazanym kierunku. Jej niebieskozielone oczy zaślniły dziwnym blaskiem na widok LaRaine nachylonej w kierunku Jima. Jego twarz, jakby wykuta z marmuru, nie ujawniała żadnych uczuć. Nawet jeśli pożądał uśmiechających się do niego, błyszczących czerwonych ust - starał się tego nie okazać.

LaRaine, siedząc w pochylonej pozie, odsłaniała swe kształtne piersi w głęboko wyciętej sukni. Och, Brandy aż korciło, żeby podbiec ku niej i nakryć ten kuszący dekolt chusteczką... Ale co by to dało? - pomyślała, wstydząc się własnej zazdrości.

Z twarzą naznaczoną bólem wróciła z powrotem do stołu. Jeśli nawet wszystkie jej wątpliwości miałyby okazać się prawdą, nie powinna chować się w mysiej dziurze jak zaszczute zwierzę. Musiała stawić czoło sytuacji.

- Jesteś niemądra, Brandy - usłyszała za sobą złośliwy szept Bryce'a. - Ona rozniesie cię na strzępy!

Gdy podeszli do stołu, Jim obrzucił ich oboje nieprzeniknionym, twardym spojrzeniem. W czarnej głębi jego oczu Brandy dojrzała złowrogie błyski. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Bryce nadal obejmuje ją ramieniem. Czyżby Jim był zazdrosny? - przemknęło jej przez myśl. Nie, to niemożliwe... Z pewnością cieszył się, że ma ją z głowy...

Nim zdążyła wrócić na swoje miejsce obok Jima, jakiś postawny mężczyzna w ciemnym garniturze zastąpił jej drogę. Stał po prostu między nią a Jimem, uniemożliwiając jej dotarcie do krzesła. Brandy przystanąła nieco zakłopotana, czekając na rozwój wypadków.

- Witam pana, panie Corbett! - Mężczyzna klepnął Jima kordialnie po plecach, a potem dodał, widząc siedzącą obok LaRaine: - I panią również witam, panno Evans.

- Pan Spencer, cóż za niespodzianka... - odpowiedział wolno Jim tonem nie pozostawiającym złudzeń, że nie była to dla niego miła niespodzianka.

- To pismak z bulwarowej prasy - szepnął Bryce do ucha Brandy.

Mężczyzna rozejrzał się po zgromadzonych wokół stołu gościach.

- A cóż to dziś świętujecie? Czyżby czyjeś zaręczyny? To ostatnie pytanie skierowane było do LaRaine. Odpowiedziała mu uśmiechem pełnym kobiecej satysfakcji.

- Ależ skądże, pani Spencer! - Słowa protestu wypowiedziała takim przewrotnym tonem, jakby miała na myśli coś wręcz przeciwnego. - To tylko małe towarzyskie spotkanie przed weekendem. Jeśli mielibyśmy coś świętować, to tylko to, że jutro mamy wolne! - Znow roześmiała się perliście.

- Jestem szczerze rozczarowany - westchnął dziennikarz z udawanym żalem. - Myślałem, że w końcu doczekam się od was przyznania, że jesteście razem na poważnie.

- Nie zapominaj, Spencer - Jim podniósł szklanekę i przez chwilę obserwował przelewający się wewnątrz alkohol - że pracujemy nad tym samym filmem. To całkiem naturalne, że często można nas zobaczyć razem. Jesteśmy przyjaciółmi i paramy się tym samym fachem. - Spojrzał twardym, wyzywającym wzrokiem na dziennikarza, jakby prowokując go do pytań, które z łatwością mógł odparować.

- Jim ma rację - przyznała głucho LaRaine z fałszywie skromną minką. - Jim i ja jesteśmy tylko parą dobrych przyjaciół.

- Przypomnę wam kiedyś te słowa - roześmiał się mężczyzna, wyraźnie z siebie zadowolony.

Brandy przez cały czas tej wymiany zdań czuła nasilający się ból w sercu, jakby ktoś wbijał w nie stalowe ostrze. Domyślała się, że standardowe odpowiedzi dla prasy w rodzaju: „tylko dobrymi przyjaciółmi...” oznaczają w rzeczywistości bliski związek. Z żołądkiem podchodzącym do gardła obserwowała, jak dziennikarz odchodzi. Zaraz potem napotkała wzrok Jima; jego oczy płonęły dziką furją.

Och, gdyby mogła usiąść gdziekolwiek indziej... Ale Bryce wysunął już dla niej krzesło obok Jima. Usiadła, modląc się w duchu, by ten koszmarny wieczór wreszcie się skończył.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przy kolacji w rozmowie znów dominowała LaRaine. Mimo że Jim dwukrotnie zachęcał Brandy, by zabrała głos, ona w miarę upływu czasu cichła coraz bardziej.

Przy kawie, gdy kelner po raz kolejny napełniał filiżanki, zastanawiała się gorączkowo, jak długo jeszcze będzie ciągnąć się ten wieczór. Z jej ust wyrwało się nawet lekkie westchnienie.

W końcu Jim z uwagą przyjrzał się jej przygnębionej twarzy, odmówił następnej filiżanki kawy i odsunął swoje krzesło od stołu.

- Na nas już chyba czas, Brandy - odpowiedział na milczące pytanie jej oczu.

- Tak szybko? - zaprotestowała LaRaine z rozdrażnieniem. - Przecież jeszcze jest wcześnie.

- Być może dla ciebie, ale nie dla mnie - brzmiała jego jednoznaczna odpowiedź. - Miałem ciężki dzień.

Po krótkim pożegnaniu Jim wyprowadził Brandy z restauracji. Do samochodu wsiedli w pełnej napięcia ciszy. Brandy spoglądała na Jima, na jego ostry, jakby wyrzeźbiony profil, i nie potrafiła odgadnąć jego myśli. Och, cóż to mnie obchodzi! Obym jak najprędzej znalazła się w domu, zaklinała się w duszy. Ale nie była to prawda. Obchodził ją - więcej niż obchodził. Zakochała się w Jimie Corbetcie, i nie potrafiła wygnać tego uczucia z serca.

Wkrótce opuścili Tucson. Urażona duma nakazywała Brandy milczenie. Wpatrywała się ponurym wzrokiem w okno, usiłując

zapomnieć o szczęśliwych chwilach, które spędziła z Jimem tego wieczoru - to znaczy, zanim pojawiła się ekspansywna LaRaine.

Nagle, bez ostrzeżenia, Jim przyhamował, a potem skręcił w wyżwirowaną drogę i wyłączył silnik.

- Dlaczego się zatrzymałeś? - spytała szorstko Brandy, odgarniając złote loki z czoła.

Odwrócił się ku niej i oparł plecami o drzwi. W tej pozycji na część jego twarzy padał cień, ale dobrze widziała ciemne oczy pałające w półmroku.

- O co ci chodzi, Brandy? - spytał spokojnie.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Patrzyła prosto przed siebie.

- Stało się coś, co cię rozzłościło i chciałbym znać przyczynę.

Spuściła wzrok na torebkę leżącą na jej kolanach, która w jasnej poświacie księżyca świeciła upiorną białością.

- Wydaje ci się - odparła wymijająco.

- Twoje milczenie świadczy o czymś całkiem przeciwnym - zakpił.

- Moje milczenie! - roześmiała się ponuro. - Przecież ty również nie powiedziałeś ani słowa, odkąd wyszliśmy z restauracji. - Rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie.

- Nim cokolwiek powiem, muszę wiedzieć, co cię ugryzło. - Jego ciemne oczy obserwowały ją z wyjątkową intensywnością. - Muszę wiedzieć, dlaczego jesteś zła - powtórzył z naciskiem.

To zabrzmiało jak rozkaz. Brandy mocniej zacisnęła usta. Z jakąż przyjemnością dałaby upust żalowi i wściekłości, ale jakież

resztki rozsądku powstrzymywały ją od tego. Nie powinna dać poznać Jimowi, że się w nim zakochała...

- Wcale nie jestem zła - powiedziała bez specjalnego przekonania.

Z nagłością, która ją zaskoczyła, chwycił mocno jej podbródek i przekreślił do siebie tak, że patrzyła mu teraz prosto w oczy. Światło księżycy łagodziło nieco ostre rysy jego twarzy i groźny wyraz czarnych brwi zwieszających się ponuro nad zmrużonymi oczami. Biła od niego jakaś skupiona siła, która ją przerażała. Dopiero teraz zrozumiała, że doprowadzony był do ostateczności i ledwie powstrzymywał wybuch gniewu.

- Chcę wiedzieć - powtórzył tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Zebrała w sobie resztki odwagi i spojrzała mu w oczy z wyzwaniem.

- Nikt nie lubi być wykorzystywany ani wyśmiewany - powiedziała z całą godnością, na jaką było ją stać.

- Wykorzystywany! - Uniósł brwi w geście szczerego zdziwienia. - Czy chcesz powiedzieć, że... wykorzystuję cię?

- Dajże spokój - westchnęła z rozdrażnieniem, usiłując odepchnąć jego rękę. - Tylko mi nie mów, że o niczym nie wiesz. Czy myślisz, że jestem ślepa?

- Niewykluczone - powiedział ze złością. - A w jakiż to sposób cię wykorzystuję?

- Nie udawaj! Doskonale wiem, dlaczego zabrałeś mnie dziś do tej właśnie restauracji!

- Och, przestań mówić zagadkami. - Jeszcze mocniej zacisnął palce wokół jej podbródka. - Przedstaw sprawę jasno i wyraźnie!

- Dobrze wiesz, że chodzi o LaRaine i ten niezwykley zbieg okoliczności, który miał miejsce dzisiejszego wieczoru - wybuchła.

Zaczerpnął oddechu i wreszcie oderwał dłonie od jej twarzy. Potem patrzył na nią długo - spokojnym, poważnym wzrokiem.

- Rozumiem - odezwał się wreszcie, ponieważ cisza stawała się dręcząca. - Doszłaś, jak mi się zdaje, do wielce odkrywczych wniosków na temat LaRaine i motywów, dla których cię dzisiaj zaprosiłem do restauracji.

Nie miała zamiaru komentować tego sarkastycznego tonu ani wdawać się w polemikę.

- Czy mógłbyś zawieźć mnie już do domu - powiedziała z rezygnacją.

- I zapewne sądzisz, że należą ci się wyjaśnienia - ciągnął, ignorując jej ostatnie słowa. - Otóż wiedz, że nie mam zamiaru z niczego się tłumaczyć! - dodał lodowatym tonem.

- Nie prosiłam o wyjaśnienia, panie Corbett - burknęła nadąsana.

Zaklął pod nosem, a potem swą potężną dłonią objął ją za szyję, i kciukiem zmusił, by znów uniosła podbródek. I nagle, całkiem nieoczekiwanie, przycisnął usta do jej warg.

Brandy walczyła z tym pocałunkiem i własnymi emocjami, aż do chwili gdy zdradziecka fala namiętności ogarnęła ją znów. Jim chwycił ją wpół i posadził sobie na kolanach; oparła się bezradnie o

jego twardą jak skała klatkę piersiową, ponieważ nieomal straciła oddech w tym żelaznym uścisku.

Odbierała ból jak słodką torturę. Po chwili ciemność przesłoniła jej oczy, a jej ręce bezwiednie powędrowały w górę i otoczyły szyję Jima. Z rozkoszą przebierała palcami między gęstymi czarnymi włosami opadającymi mu na kołnierzyk koszuli, a srebrny, turkusowy naszyjnik uwierał jej miękkie piersi.

Gdy wreszcie uwolnił jej usta, głęboko zachłysnęła się powietrzem; przesycone było słodkim zapachem pustyni i wonią piżma bijącego od Jima.

Przez chwilę jeszcze błędził wargami po jej szyi, a dłonią przesuwał miękko po jej biodrach i udach, potem uniósł głowę i popatrzył na nią oczami płonącymi pożądaniem. Na ten widok serce Brandy zaczęło bić jeszcze szybciej.

- Jim - wydała z siebie jęk ni to rozkoszy, ni cierpienia.

- Szz... - Przyciągnął ją znów do siebie i teraz przesuwał wargami po jej miękkich włosach. - Czy teraz rozumiesz, kochanie? - wymamrotał. - Rozumiesz, dlaczego nie mogłem być z tobą sam na sam na ranchu?

- Tak... - wyszeptała z żalem.

- W samochodzie przychodzi czas na opamiętanie - powiedział. - Czowała delikatny ruch jego warg we włosach i to, że uniósł teraz kąciki ust w uśmiechu.

- Opamiętanie? - powtórzyła jak echo, zastanawiając się, czyżby już pożałował, że ją przed chwilą pieścił.

- Brandy! - Gdy roześmiał się głośno, poczuła podmuch powietrza na włosach. - Czy zawsze jesteś tak niepewna swoich wdzięków?

Uniosła głowę i spojrzała w jego męską, pociągającą twarz, która znajdowała się teraz tak blisko jej własnej. Nigdy przedtem nie była niepewna...

- Tylko kiedy jestem z tobą - przyznała szczerze, choć rozsądek zabraniał się do tego przyznawać.

Uśmiech zniknął z jego twarzy równie szybko, jak się tam pojawił; jego oczy zdradzały poważną, głęboką zadumę. Brandy nie potrafiła jednak zgłębić jego myśli.

- Chyba odwiozę cię już do domu - rzekł wreszcie z krzywym uśmiechem. I nim Brandy zdążyła zaprotestować, Jim zsunął ją ze swych kolan i posadził na siedzeniu pasażera.

Gdy już wyjechali na główną drogę, wziął ją czule za rękę i zaczął opowiadać o filmie, który teraz kręcił. Brandy szybko pojęła, że pragnął jej wyjaśnić kilka fachowych kwestii, o których dyskutowano na przyjęciu, a ona ich nie rozumiała.

To ładny gest z jego strony, pomyślała z rozczeniem, a serce jej napełniło się miłością.

Na podjeździe przed domem Jim wrzucił luz, ale nie wyłączył silnika. Tylko w jednym oknie obok frontowych drzwi paliło się światło.

- Może wstąpisz na kawę? - zaproponowała. - Jeszcze nie jest późno.

- Dziękuję za zaproszenie, ale mam jutro mnóstwo pracy.

- Przecież jutro nie pracujesz - zdziwiła się, a serce od razu podskoczyło jej do gardła, ponieważ dobrze pamiętała słowa LaRaine.

- To prawda, jutro nie kręcimy - przyznał. - Ale muszę zapoznać się z poprawkami w scenariuszu. Poza tym mam spotkanie z Donem, moim agentem, a to zajmie mi cały dzień.

- Nie pomyślałam o tym. - Uśmiechnęła się rozbrajająco, próbując ukryć rozczarowanie, że go jutro nie zobaczy.

- Czy wcześniej wstajesz?

Brandy zaciekawiona przechyliła głowę na jedną stronę.

- Czasami... Dlaczego pytasz?

- Nie miałybyś ochoty na przejażdżkę konną po pustyni, nim słońce wzejdzie i zrobi się zbyt gorąco?

- Tak! - powiedziała szybciej, niż zdążyła pomyśleć.

- Czy wpół do szóstej to nie za wcześnie?

- Doskonale - zgodziła się skwapliwie.

Pochylił się nad nią i znów natarczywie pocałował ją w usta. A gdy się odsunął, znów doznała rozczarowania; jakże pragnęłaby pozostać tu z nim na zawsze...

- W takim razie do jutra - powiedział jej na dobranoc.

Skinęła tylko głową i wysiadła z samochodu. Czekał na podjeździe, aż otworzyła drzwi i zniknęła w środku. Dopiero gdy odjechał, przypomniała sobie, że nie wyjaśnił jej całej sprawy z LaRaine... A więc dotrzymał słowa... W tej chwili jednak przeżywała taką euforię, że nic nie było w stanie jej poważnie zaniepokoić.

Nucąc pod nosem, Brandy napełniła szklanę sokiem pomarańczowym, po czym upiła łyk i właśnie wstawiała dzbanek z powrotem do lodówki, gdy dobiegł ją z holu odgłos znajomych kroków.

- Brandy?! - Jej ojciec stał w drzwiach, zawiązując pasek od szlafroka. Jego włosy przyprószone siwizną były zmierzwione, a na twarzy malowało się wyraźne zaskoczenie i niedowierzenie. - Lenora usłyszała, że ktoś kręci się na dole... - Spojrzał znacząco na szarówkę za oknem. - Co, u licha, robisz tu o tej porze?

- Jim zaraz tu będzie... Wybieramy się na konną przejażdżkę. - Zaniknęła lodówkę i podeszła do stołu. - Powinien tu być lada chwila.

Stewart Ames zmarszczył brwi, spoglądając na zegar wiszący nad zlewem.

- O piątej rano?

- Jest już piąta trzydzieści - poprawiła go Brandy, dopijając sok pomarańczowy.

- Jeszcze nie zaczęło świtać. - Wzruszył ramionami na znak, że kilka minut nie stanowi dla niego różnicy.

Na dźwięk silnika Brandy rzuciła się do okna. Furgonetka, ciągnąca za sobą przyczepę do przewozu koni, zatrzymała się właśnie na podjeździe.

- O, już jest! - Brandy sięgnęła po skórzaną, ozdobioną frędzlami kurtkę. - Kawę zaparzyłam, wystarczy podgrzać - rzuciła na odchodnym.

Głos ojca zatrzymał ją w drzwiach.

- Brandy... - powiedział, przesuwając palcami po włosach.

- Słucham? - Starła się nadać głosowi naturalne brzmienie, mimo że zaczynała się już niecierpliwić i nie była w nastroju do wysłuchiwania ojcowskich kazań. Nie teraz, gdy czekał na nią Jim! Usłyszała trzaśnięcie tylnych drzwi przyczepy.

- Brandy, chyba jesteś stuknięta, żeby umawiać się o tej porze. - Stewart Ames uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach zaświeciły figlarne błyski. - Albo... zakochana.

Brandy natychmiast się rozpogodziła.

- To prawda! - zawołała, posłała mu ręką pocałunek i zniknęła za drzwiami.

Gniady ogier, osiodłany i okielznany, stał obok przyczepy, a Jim zamykał właśnie drzwi furgonetki. Koń zastrzygł uszami i odwrócił głowę w kierunku nadchodzącej Brandy.

- Witaj! - zawołał Jim.

- Dzień dobry - Brandy odwzajemniła powitanie.

- Gotowa?

- Przygotowałam już nawet konia. Czeka osiodłany za domem. - Serce zabiło jej szybciej na widok czulego spojrzenia, jakim ją obdarzył.

Jim odczepił wodze, którymi przywiązał konia do przyczepy, i poprowadził go za Brandy na tył domu.

Niebawem jechali stępą w kierunku ogromnej pustej przestrzeni, gdzie na wschodnim horyzoncie pobłyskiwały pierwsze promienie

słońca. Siwy arab, którego dosiadała Brandy, niespokojnie przebiegał kopytami, podrzucając łbem, jakby chciał szybciej pójść do przodu.

- Jak tu cicho - powiedziała, głęboko oddychając miękkim, rześkim jeszcze, przesyconym zapachem szaławii powietrzem.

- Błoga cisza - zgodził się Jim.

Złotawy brzask rozlewał się z wolna po niebie. Jechali w ciszy przerywanej jedynie skrzypieniem skórzanych siodeł, rozkoszując się narodzinami nowego dnia. Nadszedł łagodnie - blade światło powoli zamieniało się w pomarańczowe, fiolet nieba w błękit, a potem ogromna, różowiejąca słoneczna kula zaczęła wynurzać się zza horyzontu.

Na szczycie wzgórza Jim wstrzymał konia.

- Och, ten widok nigdy mi się nie sprzykrzy! - zawołała Brandy, ogarniając rozmarzonym wzrokiem panoramę pustyni. W głębi serca wiedziała, że Jim podziela jej uczucia i to cieszyło ją najbardziej.

- Dopiero wobec majestatu przyrody wszystkie nasze sprawy nabierają właściwych proporcji - powiedział. - Ta ziemia uświadamia, jak człowiek niewiele znaczy... I wszystko, co się posiada, traci tu znaczenie. Cóż wart jest majątek! Za żadne pieniądze nie można kupić sobie takiej scenerii. - Zerknął na Brandy, z właściwym sobie sardonycznym uśmiechem. - W mojej pracy nie powinno się o tym zapominać.

- Widzę, że zamieszkałeś w pobliżu pustyni nie tylko, żeby zachować swoją prywatność - wtrąciła.

Wzruszył lekko ramionami.

- Przypuszczam, że jest ku temu wiele powodów. Może kiedyś znajdę czas, żeby to sobie przemyśleć... - Wyprostował się i ściągnął wodze. - Przejedziemy się?

Skinęła głową i po chwili znów jechali kłusem.

- Jak długo będziecie kręcić w Old Tucson? - Objęła kępę kłujących kaktusów, po czym znów zrównała się z gniadoszem.

- Najwyżej miesiąc.

- A potem?

- Wracamy do Los Angeles, aby zrobić montaż. - Popatrzył na słońce tak, jakby na podstawie jego położenia chciał określić godzinę.

Na myśl, że za niecały miesiąc Jim wyjedzie, zrobiło jej się smutno na sercu. To, oczywiście, było nieuchronne, ale jak do tej pory odsuwała od siebie te myśli...

- Co będziesz robił po skończeniu tego filmu? - zaciekała się.

- Podpisałem już kontrakt na następny. Zdjęcia zaczynają się za miesiąc. Dopiero pod koniec roku będę miał trochę czasu, a i to niepewne, jeśli Don postawi na swoim. - Zapadła cisza wypełniona jedynie stłumionym odgłosem końskich kopyt na żwirowym podłożu. Po chwili, w przyływie jakiegoś natchnienia, Jim zaspokoił ciekawość Brandy. - Żaden z tych filmów nie będzie kręcony w Arizonie - wyjaśnił.

Na twarzy Brandy odmalowało się przygnębienie,

- Dużo podróżujesz, prawda? - powiedziała bezdźwięcznym, jakby zmęczonym głosem.

- Owszem, i dotychczas bardzo to lubiłem...

Zerknęła nań zaciekawiona i napotkała jego przenikliwy wzrok. Co miał na myśli? Dlaczego mówił zagadkami?

- Jak dotąd nie miałem powodu do pospiesznego powrotu do domu - powiedział, tym razem patrząc w przestrzeń.

- A teraz?

- A teraz myślę, że powinniśmy już wracać z powrotem - uciał niemal opryskliwie, a bruzdy wokół jego ust wyraźnie się pogłębiły.

Wiedziała, że celowo udzielił wymijającej odpowiedzi. Chciał jej dać do zrozumienia, że nie jest jeszcze gotów do żadnych deklaracji... Ale właściwie dlaczego? Czyżby...? Czyżby z powodu LaRaine?

Zdezorientowana, a jednocześnie zła z powodu własnego zmieszania, zacisnęła usta i bez słowa ruszyła z miejsca. Nagle pod wpływem szalonego impulsu uderzyła piętami Rashada.

- Pościgamy się? - rzuciła Jimowi wyzwanie, jej arab zaś wyrwał do przodu jak oszalały.

Konie pędziły po płaskim, jakby dziewiczym terenie, przeskakując nad kępami krzewów i omijając kłujące kaktusy. Rashad dłuższy czas był kilka długości z przodu, ale dystans między ściganym i ścigającym stopniowo malał. Wreszcie gniadosz Jima dorównał mu kroku i czas jakiś galopowali łeb w łeb. Wreszcie wysforował się na czoło. Wtedy nieoczekiwanie Jim wyciągnął rękę i schwycił Rashada za wodze. Dokonując niesamowitej wręcz ekwilibrystyki, zwolnił bieg obu wierzchowców, aż zmusił je do

wyciągniętego kłusa, a potem do nierównego stępa. Dopiero wtedy puścił wodze Rashada.

- I tak dłuższy czas prowadziliśmy - pocieszyła Brandy swego rumaka, poklepując go przyjacielsko po szyi.

- Znów byś mnie wyprzedziła - powiedział Jim ze śmiechem. - Pecos doścignie ptaka Wylocie, ale na krótki dystans. Potem zostaje w tyle.

- To nie fair! - oskarżyła go Brandy. - Przerwałeś wyścig, gdy prowadziłeś.

- To prawda. - Podjechał do niej bliżej. - Ale, tak czy owak, jestem zwycięzcą. - Przesunął po niej oczami, w których igrały złośliwe iskierki.

Brandy uśmiechnęła się i potrząsnęła głową z udawanym rozdrażnieniem.

- Tylko dlatego, że nie grałeś fair - powtórzyła przekornie.

Otoczył dłonią jej szyję i przyciągnął ją do siebie.

- Najwyższy czas, bym odebrał nagrodę - powiedział, wychylając się z siodła i czule dotykając jej warg swoimi ustami.

Gdy się od niej odsunął, przez chwilę przyglądała mu się z rozpromienioną twarzą. Nagle wybuchnęła radosnym, pełnym szczęścia śmiechem.

- Gdybym wiedziała, co jest nagrodą, szybciej przegrałabym gonitwę!

- Ależ z ciebie kokietka! - zaśmiał się Jim.

Mimo że skłonił swego ogiera do klusa, nie zaproponował następnego wyścigu. Brandy popędziła Rashada i jechali teraz obok siebie.

- W tym tygodniu prawdopodobnie będę bardzo zajęty - powiedział po pewnym czasie Jim. - Będę pracował do nocy, tak więc pewnie nie zobaczymy się aż do przyszłego weekendu. Oczywiście, spróbuję do ciebie zadzwonić.

- W porządku, rozumiem.

Brandy jednak wolała, żeby wypowiedział się bardziej konkretnie w sprawie weekendu, zamiast pozostawiać ją w dręczącej niepewności.

Ze smutkiem przypomniała sobie, że LaRaine będzie widywać Jima każdego dnia. Zazdrość dźgnęła ją w serce i odbiła się w jej oczach ciemnozielonym cieniem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Brandy, telefon do ciebie. - Karen podeszła do lady. - Ja się panią zajmę - uśmiechnęła się uprzejmie do klientki, którą Brandy właśnie obsługiwała i dodała konspiracyjnym tonem: - To on!

Brandy wyteżyła całą siłę woli, aby podejść do aparatu spokojnym krokiem, choć najchętniej poleciałaby jak na skrzydłach. Po dwóch dniach udreki prawie już straciła nadzieję, że Jim w ogóle się do niej odezwie.

Nim podniosła słuchawkę, chwyciła głęboki, uspokajający oddech.

- Słucham?

- Tu Jim. - Nie potrzebował się przedstawiać. Wszędzie rozpoznałaby jego niski, zduszony głos. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w pracy?

- Ależ skądże! - upewniła go z mocno bijącym sercem.

- Masz dziś wolny wieczór?

- Tak... - Przyjemny dreszcz przebiegł jej po ciele.

- Wiem, że zawiadamiam cię zbyt późno, ale tak się złożyło, że Tom McWade, jeden z kaskaderów, i asystentka reżysera, Ginny Baker, wyjechali wczoraj wieczorem do Meksyku, żeby wziąć ślub - wyjaśnił. - W związku z tym dziś po zakończeniu zdjęć ekipa filmowa wydaje na ich cześć przyjęcie. Przyjdiesz?

Zduśiła w sobie okrzyk radości i zgody zarazem, ponieważ natychmiast zrodziło się w jej głowie pytanie, dlaczego nie zaprosił

LaRaine, albo czy przypadkiem znów nie zostanie wykorzystana dla wzbudzenia czyjejś zazdrości...

- Brandy? - spytał zaniepokojony przedłużającą się ciszą.

- Jestem tu... - Nerwowym ruchem owijała sznur wokół palców.

- Być może powinieneś zaprosić LaRaine - powiedziała po chwili z właściwą sobie szczerością. - Ona tam wszystkich zna i bardziej pasuje do towarzystwa...

- Jeśli chciałbym zaprosić LaRaine, nie zapraszałbym ciebie - przerwał jej stanowczo. - Chcesz więc przyjść, czy nie?

- Tak, chcę.

- To dobrze - skwitował. - Zawiadomię strażnika, żeby cię wpuścił między szóstą a siódmą. A teraz muszę już lecieć na plan - dodał szybko. - Do zobaczenia wieczorem. - I nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę.

Brandy jeszcze dłuższą chwilę wpatrywała się w milczący aparat, żałując teraz, że od razu Jimowi nie odmówiła, bez względu na to, jak bardzo pragnęła go zobaczyć.

Kilka minut po szóstej podjechała na parking pod Old Tucson. Wyłączyła silnik i siedziała jeszcze chwilę w samochodzie, ubolewając w duchu, że zabrakło jej silnej woli, by tu nie przyjeżdżać. Ale były to już próżne żale... Teraz musiała zaufać intuicji i uwierzyć, że Jim naprawdę chciał ją zabrać na to przyjęcie.

Wysiadła z samochodu i zbliżyła się do wejścia. Przy bramie powitał ją ten sam łysawy mężczyzna, którego poznała podczas swojej pierwszej wizyty.

- Dzień dobry, panno Ames - pozdrowił ją z sympatycznym uśmiechem. - Czekałem na panią. A oto i Troy, który zaprowadzi panią na imprezę.

Po drugiej stronie wejścia jak spod ziemi pojawił się strażnik ubrany w kowbojski strój. Był nieco starszy od Dicka Murphy'ego, który towarzyszył jej i Karen poprzednim razem, ale równie uprzejmy i nie zadający zbędnych pytań. Poprowadził Brandy na tyły filmowego miasteczka, skąd dochodziły odgłosy zabawy.

- Przyjęcie już się zaczęło - zauważyła z uśmiechem.

- Jakies dwie godziny temu - poinformował. - W każdym razie dla tych, którzy skończyli już pracę.

- Ale niektórzy jeszcze pracują? - Brandy oczywiście miała na myśli Jima, lecz nie musiała tego tłumaczyć.

- Pan Corbett długo nagrywał jedną scenę - brzmiała odpowiedź.

- Ale powinien już skończyć.

Gdy podeszli do rozbawionej grupki ludzi, od razu jakiś znajomy mężczyzna z wawym krokiem podskoczył ku Brandy.

- No, no, no! - Patrzył na nią jasnoniebieskimi, błyszczącymi oczami. - I kogo my tu widzimy? Czyż to nie nasze blond niewiniątko przyszło, żeby znów spróbować szczęścia? - dodał rozbawionym tonem.

- Dzień dobry, panie Conover. - Brandy powitała go chłodno, nie reagując na zaczepki.

- Mów mi Bryce - poprawił ją i dodał, patrząc z góry na strażnika: - Jesteś wolny, Smith. Zajmę się panną Ames.

Mężczyzna uklonił się Brandy, choć znać było, że autokratyczny ton Bryce'a Conovera nie przypadł mu do gustu. Brandy podziękowała mu pospiesznie, on zaś dotknął rąbka kapelusza i oddalił się bez słowa.

- Dlaczego zachowałeś się tak obcesowo? - Brandy popatrzyła na Bryce'a oskarżycielskim wzrokiem. - Mogłeś być trochę grzeczniejszy.

- A z jakiego to niby powodu? - spytał arogancko.

- Bez powodu. Po prostu okazałbyś uprzejmość. Czy każdy nasz odruch musi czemuś służyć?

- Oczywiście. - Bryce wziął ją za rękę i z uśmiechem pełnym zadowolenia wsunął ją sobie pod ramię.

- W takim razie, w jakim celu jesteś dla mnie miły? - spytała chłodnym tonem.

- W bardzo pożytecznym celu - zapewnił ją.

- To znaczy? - naciskała.

- LaRaine prosiła, bym cię zabawiał.

- I dlaczego to dla niej robisz? Czyżbyś się w niej nieszczęśliwie zakochał? - Zaczęła wyrywać rękę, ale on mocno ją ścisnął.

Wybuchnął głośnym, nieprzyjemnym śmiechem.

- Ta kruczoczarna czarownica pnie się szybko na szczyt - wyjaśnił. - Nie sądzę, żeby wystarczyło jej talentu, aby tam długo pozostać, ale odniesie przynajmniej chwilowy sukces. Opłaca się mieć przyjaciół na górze, którzy ci co nieco zawdzięczają. Liczę, że LaRaine odpłaci mi się w przyszłości, polecając moją skromną osobę do ról w swoich filmach. Ot i wszystko.

- Jesteś wyrachowany! - powiedziała z nie skrywanym obrzydzeniem.

- Tylko ambitny i zdeterminowany - poprawił ją z ironią. - A teraz zapraszam cię do baru na drinka.

- Wolałabym pozostać sama. - Brandy na próżno usiłowała zdjąć jego palce ze swojej ręki.

- Dziś wieczór jestem twoim cieniem, czy chcesz tego, czy nie, i nie pozbedziesz się mnie tak łatwo. Powinnaś wykorzystać tę sytuację.

Przestała z nim walczyć i popatrzyła na niego z wściekłością.

- Dziękuję, ale nie skorzystam! - warknęła.

- Czyżbyś miała nadzieję, że dzielny James Corbett przybędzie ci na ratunek? - Te słowa wypowiedziane szeptem pełne były jadowitego sarkazmu.

- On mnie tutaj zaprosił - przypomniała mu hardo.

- A spytałaś go, w jakim celu? - zakpił Bryce, i nie czekając na odpowiedź, pociągnął ją ku grupie rozbawionych osób.

Brandy odmówiła wypicia szampana, do czego próbował ją nakłonić Bryce, i zamiast alkoholu poprosiła o sok z lodem.

Konieczność trzymania szklanki umożliwiła jej przynajmniej chwilowe uwolnienie ręki z uścisku Bryce'a, ale on i tak uparcie nie odstępował jej ani na krok. Brandy, popijając zimnego drinka, oczami poszukiwała w tłumie Jima. Na razie nigdzie nie mogła go dostrzec.

- Zapomnij o nim i baw się - powiedział Bryce.

- Zostaw mnie w spokoju - mruknęła pod nosem, jednocześnie uśmiechając się uprzejmie, ponieważ witała ich inna para gości.

- Nie mógłbym skazać cię na samotność - szepnął i dodał głośniej: - Czy poznałaś już Toma i Marie? - Po czym ochoczo podprowadził Brandy ku nadchodzącej parze.

Brandy czuła się zażenowana; Bryce, oczywiście, nie wspomniał, że została zaproszona przez Jima, ona sama zaś nie potrafiła zręcznie wyjaśnić całej sytuacji. Wyszło więc na to, że przybyła tu z Bryce'em.

Całe szczęście, że przynajmniej przy obcych ludziach Bryce zaprzestał drwiących, sarkastycznych uwag. Ale niestety znów objął ją ramieniem w talii i, mimo dyskretnych starań, nie udało jej się uwolnić. Musiała się uśmiechać uprzejmie, rozmawiając z Marie, i tylko od czasu do czasu rzucała Bryce'owi gniewne spojrzenia.

Na nic to się jednak nie zdało, ścisnął ją coraz mocniej, a nawet usiłował przytulać.

- Cieszę się, że tak dobrze się bawisz - usłyszała z tyłu głos Jima.

Odwróciła głowę i ujrzała w jego oczach cyniczny, twarde wyraz, nie pozostawiający wątpliwości, co sobie pomyślał. Był w towarzystwie LaRaine, a jej czarne, błyszczące oczy lśniły złośliwą

satysfakcją. Na policzki Brandy wypłynął ciemny rumieniec gniewu i zażenowania.

- Doprawdy, kochanie - zadrwił Bryce - nie zachowuj się jak winowajczyni. Jim gotów pomyśleć, że coś się między nami dzieje!

Brandy miała szczerą ochotę uderzyć go w twarz, ale ponieważ skupiła na sobie już wystarczająco dużo ciekawych spojrzeń, wołała nie wywoływać jeszcze większego wokół siebie zamieszania.

Postanowiła więc ostatnią prowokacyjną uwagę Bryce'a zignorować.

- Czy skończyłeś już dziś pracę, Jim? - spytała z całym spokojem, na jaki było ją jeszcze stać.

- Owszem - przytaknął.

- Dokończyliście wreszcie ostatnią miłosną scenę z LaRaine? - Bryce z niedowierzaniem uniósł jasną brew.

- Tak. - LaRaine rzuciła Jimowi bardzo intymne spojrzenie, on zaś bacznie, z twarzą wyraźnie spiętą, przyglądał się Brandy. - Po całym dniu prób, wreszcie wyszło dobrze - dodała aktorka z zagadkowym uśmiechem.

Na myśl, że Jim spędził cały dzień w ramionach pięknej brunetki, Brandy poczuła kurcze w żołądku. Jakże łatwo potrafiła sobie wyobrazić ich ciemne głowy pochylone ku sobie i ich usta złączone w namiętym pocałunku!

- Wybacz nam, LaRaine - wtrącił pospiesznie Jim - ale czas najwyższy, byśmy z Brandy odnaleźli młodą parę i złożyli im nasze najlepsze życzenia.

Takich słów widać nikt się nie spodziewał. Na twarzach zgromadzonych wokół nich gości odmalowało się zdziwienie. Nawet Brandy nie sądziła, że Jim zechce zrezygnować z towarzystwa LaRaine, która pokryła niezadowolenie słodkim, sztucznym uśmiechem.

- Przekaż więc Ginny, że porozmawiam z nią później, zgoda? - zwróciła się do Jima.

- Oczywiście - zgodził się z uśmiechem.

Brandy chciała postąpić krok naprzód, lecz w tym samym momencie Bryce chwycił ją za rękę i popchnął w stronę Jima.

- Oddaję ją z powrotem pod twoją opiekę - wycedził z sarkazmem.

Puszczając jej nadgarstek, uczynił to tak gwałtownie, że potracił szklanekę, którą trzymała w ręce. Brandy na chwilę straciła równowagę i nagle poczuła lodowate zimno na swoim ciele. Zaskoczona, mrugając oczami, patrzyła na powiększającą się purpurową plamę na przodzie swej jasnozielonej sukienki.

- Bryce, ty niezdaro! - krzyknęła ze złością LaRaine. Chwyciła chusteczkę, którą Jim wyjął z kieszeni. - Jak mogłeś być tak nieostrożny!

Marie wyjęła z ręki osłupiałej Brandy szklanekę, podczas gdy LaRaine usiłowała wytrzeć ciągle powiększającą się plamę na jej sukni. Brandy nie mogła uwierzyć w szczerą intencję aktorki, ale wyglądało na to, że ona naprawdę usiłowała jej pomóc.

- Och, nie zrobiłem tego celowo! - tłumaczył się Bryce.

- Trzeba było uważać - warknęła LaRaine i skrzywiła się, widząc że jej wysiłki idą na marne. - Gdy sukienka wyschnie, pozostaną na niej okropne plamy. Powinnaś ją zaraz sprać w chłodnej wodzie. - Odwróciła się do Jima. - Twoja garderoba jest najbliżej. Czy możemy z niej skorzystać?

- Proszę, oto klucz. - Wyjął go z kieszeni i podał LaRaine.

- Może mogłabym w czymś pomóc? - zaproponowała Marie.

- Damy sobie radę. - LaRaine obdarzyła Marie uśmiechem i zaczęła oddalać się wraz z oszołomioną Brandy.

Zmierzały do turystycznej przyczepy zaparkowanej na tyłach filmowego miasteczka. Gdy doszły do celu, LaRaine otworzyła drzwi i przepuściła Brandy przodem.

- W głębi znajduje się sypialnia - poinformowała. - Tam się możesz rozebrać, a ja tymczasem naleję zimnej wody do umywalki.

Brandy, idąc do sypialni Jima, pomyślała, że być może krzywdząco oceniła LaRaine.

- LaRaine, nie wiem, jak mam ci dziękować... - Zmieszana Brandy zająknęła się. - Chodzi o to, że mi pomogłaś i... i w ogóle.

- Nie ma za co - odparła LaRaine, odkręcając kurek przy umywalce.

Brandy rozpięła suknię i zdjęła ją przez głowę. Na szczęście na bieliźnie plama była niewielka.

- Podaj mi suknię. - LaRaine stanęła w drzwiach i wyciągnęła rękę. - A na razie - dodała - możesz włożyć mój szlafrok... Wisi w szafie po prawej stronie.

Brandy otworzyła szafę; wisiał w niej na samym wierzchu purpurowy, satynowy damski szlafrok oraz kilka czystych koszul i dwie pary spodni należących niewątpliwie do Jima. W ustach poczuła smak goryczy. Opadła wreszcie zasłona, i Brandy z nieznośną wyrazistością zrozumiała, dlaczego LaRaine okazywała jej dziś tyle niezrozumiałej sympatii... Doszła nawet do wniosku, że cały wypadek z rozlanym sokiem również nie był dziełem przypadku.

A wszystko jedynie po to, by zobaczyła jej czerwony szlafrok w przyczepie Jima! Szlafrok wisiał na samym wierzchu, jaskrawa purpura uderzała w oczy... Jim musiał go widzieć, i musiał uważać go w tym miejscu za rzecz naturalną... A to oznaczało, że LaRaine była jego kochanką! LaRaine pragnęła więc, by Brandy sama się o tym przekonała...

Coś w niej umarło - skończyło się na zawsze. Automatycznym ruchem wsunęła na siebie purpurowy szlafrok; łagodny dotyk jedwabiu ochłodził jej ciało. Gdy wiązała pasek, zauważyła, że LaRaine stoi w drzwiach ze skrzyżowanymi ramionami i chytrym, kocim wyrazem twarzy.

- Nie zamierzasz zapytać mnie o szlafrok? - spytała jadowicie słodkim głosem.

Brandy mocno zawiązała pasek i dumnie odrzuciła głowę do tyłu.

- Czy właściwie o to ci chodziło? Po to mnie tutaj przyprowadziłaś?

- Pomyślałam tylko, że możesz się zastanawiać, skąd się tu wziął
- odparła aktorka, wzruszając nonszalancko ramionami.

- A dlaczego miałabym to robić? - odparowała Brandy, przechodząc obok niej stanowczym krokiem. - Od razu wiedziałam, że pragniesz Jima. - Podeszła do pełnej już umywalki i zakreśliła kran.

- I mam zamiar go mieć - oświadczyła LaRaine.

- Myślę, że źle się wyraziłaś... - Brandy zanurzyła materiał w wodzie i gąbką usiłowała zmyć plamę na sukience... - Czy nie powinnaś raczej powiedzieć, że go kochasz?

- Naturalnie, że tak... Pod wieloma względami stanowimy dobraną parę.

Brandy przypomniała sobie dzisiejsze cyniczne uwagi Bryce'a, i nagle doznała olśnienia.

- Chcesz powiedzieć, że talent i sława Jima pozwolą ci podążyć za nim na szczyt, czyż nie? - rzekła lodowatym tonem. Być może Jim nigdy do niej nie należał i nigdy należeć nie będzie, ale nie pozwoli, by ta wyrachowana kobieta wyszła stąd bez szwanku. - Widzisz, tak się składa, że ja kocham po prostu Jima Corbetta... A ty kogo kochasz? Jamesa Corbetta... sławnego filmowego gwiazdora?

- Co za poetyka! - LaRaine roześmiała się nieprzyjemnym, ostrym śmiechem. - Na szczęście te dwie sprawy są ze sobą ściśle powiązane. Gdy zdobędziesz jedno, od razu masz i drugie. Zapamiętaj więc sobie... on jest mój!

- W takim razie, skoro jesteś go pewna, dlaczego tak bardzo niepokoi cię moja osoba? - spytała Brandy wyzywająco.

- Przypominasz mi moją kuzynkę. - Głos LaRaine był pełen jadu. - Udawała słodkie niewiniątko, ale przy pierwszej lepszej okazji potrafiła wyciągnąć swoje pazury... Och, nie wyobrażaj sobie, że pozwolę ci wszystko zepsuć!

- Szkoda, że Jim nie widzi, jaka naprawdę jesteś - powiedziała Brandy z nie skrywanym obrzydzeniem. - A może już zauważył? Może właśnie dlatego zaczął się umawiać ze mną...?

- Owszem, kłóciliśmy się trochę - wyjaśniła skwapliwie LaRaine. - Zapraszał cię tylko dlatego, aby wzbudzić moją zazdrość. Nie dalej jak kilka minut temu zwierzył mi się, że żałuje, iż zaprosił cię dziś na przyjęcie... Powiedział, że zaraz uda zmęczenie i wcześniej odwiezie cię do domu... Jeśli więc wolisz zaoszczędzić sobie upokorzenia, zastosuj się do mojej dobrej rady i wyjedź stąd sama! Możesz wykorzystać wypadek z suknią jako pretekst.

Brandy uparcie pocierała płamę gąbką.

- Byłoby ci na rękę, gdybym tak właśnie postąpiła, prawda?

- Ty mała idiotko... - wybuchła LaRaine, ale nie miała okazji dokończyć zdania.

- Dość już, LaRaine! - Drzwi otworzyły się bezszelestnie i Jim wszedł do wnętrza przyczepy. Swą ogromną, potężną postacią przesłonił niewielkie pomieszczenie.

LaRaine otrząsnęła się z zaskoczenia szybciej niż Brandy i śmiejąc się perliście, podeszła do niego.

- Jim - wymówiła jego imię słodkim, pieszczotliwym tonem - Brandy i ja właśnie...

- Wiem, co właśnie robiłaś - przerwał jej lodowato. -

Podśluchiwałem na zewnątrz.

LaRaine, zawsze taka pewna siebie, zachwiała się na nogach, a twarz jej, zwykle tak promienna, przybrała barwę popiołu. Ze złością popatrzyła na Brandy, jakby ją właśnie za wszystko winiła.

- Widzę, że masz zamiar wziąć stronę tej małej czarownicy! - zawołała, nie kryjąc goryczy.

- Zrobiłaś poważny błąd, LaRaine - brzmiała jego spokojna, rzeczowa odpowiedź. - Uwierzyłaś w te brednie, które wypisuje prasa.

- Ale przecież ty i ja... - usiłowała jeszcze protestować.

- Nigdy nie istniał taki tandem - przerwał jej ostro. - Co najwyżej w wyobraźni twojego agenta prasowego. Potrzebowałaś trochę reklamy, nieco szumu w prasie, żeby pomóc swojej karierze, zgodziłem się więc wziąć w tym udział. To wszystko, co kiedykolwiek między nami zaistniało - dodał twardo, a Brandy na te słowa omal nie rozplakała się ze szczęścia. - A teraz bądź tak dobra i opuść moją przyczepę, nim własnoręcznie będę cię musiał wyrzucić.

LaRaine stała przez chwilę nieruchomo, kipiąc wewnętrzną wściekłością. Wreszcie opanowała się, z pogardą odrzuciła głowę do tyłu, przeszła obok Jima i mocno zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Jim odwrócił się do Brandy. Wykrzywił lekko kąciki ust, obrzucając spojrzeniem purpurowy szlafrok, który miała na sobie.

- To stanowczo nie twój kolor - stwierdził sucho. Brandy automatycznie położyła rękę na piersiach.

- Wisiał w twojej szafie... - Przełknęła ślinę, a serce jej waliło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- LaRaine wkładała go dzisiaj podczas prób, aby ochronić jeden ze swoich kostiumów. Pamiętam, że zostawiła go tutaj, gdy wpadła w porze lunchu podrzucić mi poprawki do scenariusza. W porę sobie o tym przypomniałem - dodał. - Od razu przejrzałem jej grę. Dobrze, że nadszedłem, nim...

- Obawiam się, że zdążyłam jej uwierzyć... - Brandy patrzyła, jak Jim bardzo wolno się ku niej zbliża.

Po nieskończeniu długiej, jak się zdawało, chwili wyjął gąbkę z jej ręki i wrzucił do umywalki.

- Czy mogłabyś powtórzyć to oświadczenie, które wygłosiłaś kilka minut temu? - poprosił.

- Jakie oświadczenie? - Zapatrzona w jego płonące, ciemne oczy straciła oddech.

- To, w którym powiedziałaś, że kogoś kochasz... - szepnął z naciskiem.

Brandy zachwiała się lekko w jego stronę, on zaś ujął jej dłonie i trzymał teraz w mocnym uścisku.

- Kocham cię, Jim - szepnęła drżącym, nerwowym głosem.

- W takim razie, jak rozumiem, nie będziesz miała nic przeciw temu, jeśli w sierpniu weźmiemy ślub. - Twarz Jima rozjaśnił miękki, łagodny uśmiech.

- To jeszcze trzeba będzie tak bardzo długo czekać... - Musiała powstrzymać łzy szczęścia, które cisnęły jej się do oczu.

- Chciałbym mieć jednak całkowitą pewność, kochanie. -
Wyciągnął ku niej rękę i delikatnie palcami gładził jej policzek. -
Chciałbym być tak samo pewien twojej miłości do mnie, jak jestem
pewien swojej do ciebie.

- Bądź już dziś pewien. - Jej niebieskozielone oczy błyszczały od
łez.

Pochylił ku niej ciemną głowę, a z jego twardych, męskich ust
dobył się miękki szept:

- Kocham cię, Brandy.

Błyskawicznie otoczyła ramionami jego szyję i z nie-
pohamowaną radością podała mu swe usta.

Promienie zachodzącego słońca przenikały przez okna
przyczepy i oświetlały złocistym blaskiem ich splecione w uścisku
sylwetki.